

ISSN 1732-6494

nr 14/marzec 2006

# mixer

*magazyn studentów*

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. A. Frycza Modrzewskiego

## Znieczulica totalna

Socrates/Erasmus 2006-2007  
Nie przegap okazji!!!  
Spotkanie wstępne już

miesięcznik studentów  
Krakowskiej Szkoły Wyższej  
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

**Redaktor naczelny:**  
Bartłomiej Misiniec

**Zastępca redaktora naczelnego:**  
Grzegorz Lewandowski

**Redakcja:**  
Agnieszka Prostack  
Grzegorz Makuch  
Kinga Zielińska  
Roksana Rumińska

**Fotografie:**  
Michał Pawłowski  
Monika Zasadzka

**Przygotowanie do druku, druk:**  
Wydawnictwo PROMO  
ul. Felińskiego 25/9  
31-236 Kraków

**Adres do korespondencji:**  
mixer@kte.pl

**Wydawca:**  
Krakowska Szkoła Wyższa  
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego  
ul. Kanonicza 9, 31-002 Kraków

**Nakład:**  
1000 egzemplarzy



**Okładka:**  
Michał Pawłowski

Redakcja zastrzega sobie prawo  
do redagowania tekstów  
oraz zmiany tytułów.  
Redakcja nie zwraca  
tekstów niezamówionych.

## Apéritif

3

## PoWaGa: Politycznie Ważne Gadanie

- ▶ *Jestem człowiekiem nieagresywnym*  
– mówi dr Krzysztof Janik 4
- ▶ Po siódme – nie zabijaj... 5
- ▶ Pro publico bono 6
- ▶ Niestrudzony ambasador sprawy polskiej 7

## Kraków od spodu:

- ▶ Na randkę do Galerii „Kazimierz” 8
- ▶ Legalne łamanie prawa 8
- ▶ U „Frycza” jest wszystko 9

## StuDnIa: Studencki Drogowskaz Intelaktualny

- ▶ Socrates/Erasmus 2006/2007 10
- ▶ Cwaniakowi zawsze lepiej 11
- ▶ Znieczulica totalna 12

## Korespondencja „Mixera” z Japonii:

- ▶ *Musiałam zjeść... ośmiorniczkę!* 14

## KUMulus:

- ▶ *Elektra* nie elektryzuje 17
- ▶ Niezwykły obraz kobiecej psychiki 17
- ▶ *Muzyka to impuls* – rozmowa z grupą *De Vils* 18

## FeLieTon:

- ▶ Błędne koło strachu 20

## Studentów portret własny, czyli KSW w obrazie:

- ▶ *Karate to nie tylko uderzanie*  
– rozmowa z Shihanem A. Pierzchałą 22

## CB: Czarno-Białe

- ▶ Oryginalny album to jest to! 23
- ▶ Jestem złodziejem dźwięków niespotykanych 23



Pragnę z uśmiechem powitać wszystkich ocalałych po zimowej sesji! Skoro większość z nas już ją przeżyła, pozostaje więcej czasu na przyjemniejsze zajęcia, jak chociażby... lektura nowego „Mixera”, który – choć po przejściach – także utrzymał się na powierzchni i zamierza brnąć przed siebie.

Nasza gazeta od dnia powstania przeżyła mnóstwo zmian. liftingów itd., które – miejmy nadzieję – z tym numerem już się zakończyły. Nowa, świeżo upieczona redakcja, wraz z którą w ostatnich dniach „przejelśmy pałeczkę” od starszych kolegów, składa się z ludzi równie chętnych, a może i bardziej, do redagowania uczelnianego pisma. Podobnie jak poprzednia obecna redakcja w 100 procentach składa się ze studentów Wydziału Politologii i Komunikacji Społecznej. Pomimo licznych próśb, z nie do końca jasnych dla mnie powodów, studenci z innych kierunków nie mogą się przekonać do współtworzenia naszego pisma. Niemniej nie zaprzestaniemy gorąco zachęcać Was, drogie Koleżanki i drodzy Koledzy, do zamieszczania swoich tekstów na łamach „Mixera”. Wbrew pozorom nie wiąże się z tym wiele absorbujących obowiązków (prócz trudu napisania tekstu), gdyż nie wymagamy od Was obecności na zebraniach redakcyjnych ani tym podobnych rzeczy. Wystarczy napisany artykuł przesłać na nasz adres: [mixer@kte.pl](mailto:mixer@kte.pl).

Postanowiliśmy też wprowadzić nową, stałą rubrykę, w której prezentować będziemy nietuzinkowych studentów, jakich nie brak na naszej uczelni. Możecie zatem wysuwać propozycje i swoich kandydatów. Zaczynamy od wywiadu ze studentem studiów zaocznych na Wydziale Politologii i Komunikacji Społecznej a jednocześnie mistrzem karate – Andrzejem Pierzchałą (5 Dan).

Jednocześnie z tego miejsca chciałbym zachęcić wszystkich do wykorzystania możliwości, jakie Krakowska Szkoła Wyższa oferuje swoim studentom, umożliwiając wyjazdy zagraniczne do wielu krajów w ramach programu Socrates-Erazmus, o czym przeczytać można na stronie 10. Spotkanie zainteresowanych odbędzie się już 28 marca, a więc nie przegapmy tej okazji!!!

Na koniec chciałbym w imieniu swoim oraz koleżanek i kolegów z redakcji podziękować za liczne życzenia świąteczne i artykuły przysłane do nas pod koniec ubiegłego roku, których wydrukować nie możemy z racji ich dezaktualizacji. Z powodu wspomnianych przeze mnie przejść „Mixer” nie ukazywał się od dłuższego czasu. Wraz jednak z tym numerem mamy nadzieję na zachowanie jego ciągłości, powracając do formy miesięcznika. Liczymy że uda nam się to przy pomocy naszych mentorów: dziekana Wydziału Politologii i Komunikacji Społecznej prof. dra hab. Stanisława Kiliana, prodziekana tegoż wydziału prof. dr hab. Katarzyny Pokornej-Ignatowicz i red. Macieja Malinowskiego prowadzącego zajęcia z *Gatunków dziennikarskich i Wstępu do dziennikarstwa prasowego*, którzy nieustannie czuwają nad naszą pracą.

Tak więc nie pozostaje mi już nic innego, jak powinszować wszystkim zaliczonego semestru, raz jeszcze zachęcić do współpracy i... życzyć miłej lektury. *Bon appetit!!!*

*Bartłomiej Misiniec*

# Jestem człowiekiem nieagresywnym

*Rozmowa z dr. Krzysztofem Janikiem, wykładowcą Krakowskiej Szkoły Wyższej na Wydziale Politologii i Komunikacji Społecznej*

**A.Cz.: Dlaczego i po ilu latach zdecydował się pan wrócić do nauczania?**

K.J.: Na etat na uczelni wracam po 23 latach, natomiast do pracy dydaktycznej po 12-13. Pochodzę z rodziny nauczycielskiej i może dlatego zawsze chciałem pracować z młodymi ludźmi. Jestem głęboko przekonany, że tylko w tych krajach, w których występuje jakaś więź między pokoleniami, żyje się bez niepotrzebnych wstrząsów, bez emocji. Polska zasługuje na to, żeby po wielu latach „mieć trochę spokoju”, tzn. kilkadziesiąt lat normalnej zmiany pokoleniowej. Uważam, że każda następna generacja będzie lepsza, mądrzejsza niż poprzednia, a my, wykładowcy i nauczyciele, możemy jej w tym pomóc.

**A.Cz.: Jak pan się odnajduje w nowej sytuacji nauczyciela akademickiego?**

K.J.: Świetnie! Tylko ja tu nie jestem dla siebie, ale dla państwa, dla studentów, więc wszystko zależy od tego, czy studenci będą zadowoleni ze współpracy ze mną.

**A.Cz.: Lubi pan swoją pracę?**

K.J.: Bardzo ją lubię. Psychologicznie, wewnętrznie jestem przekonany do tej pracy.

**A.Cz.: A jak odbierają pana studenci? Chyba są zaskoczeni tym, że zajęcia prowadzi nowy wykładowca, a zarazem znany w Polsce polityk?**

K.J.: Na pewno nikt za mną nie krzyczy. Po tylu latach działalności publicznej jestem przyzwyczajony do rozmaitych reakcji, więc jeżeli ktoś się za mną ogląda, przyjmuję to z uśmiechem. Sam jestem człowiekiem nieagresywnym i liczę na wzajemność.

**A.Cz.: Czy był pan i jest wymagającym wykładowcą?**

K.J.: Nie. I nie wiem, czy w tej chwili nie narażę się moim koleżankom i kolegom z pracy, ale uważam, że ktoś, kto podejmuje naukę, wie, czego chce. W tej chwili wiedza jest dobrem powszechnym. To od studentów zależy, czy chcą ją zdobywać. Natomiast „metodologia kija” niewiele tu

zmieni. Ja mogę jedynie ocenić, czy ktoś ma zdolność np. samodzielnego szukania literatury, jakiegoś analizy rzeczywistości, zauważania związków intelektualnych. Natomiast wiedzę zdobywa się z książek. Jak ktoś potrzebuje coś wiedzieć, to idzie do biblioteki i tyle. Moim zdaniem nauczanie to raczej wspólne przechodzenie przez rozmaite, zaskakujące zwroty polskiej rzeczywistości niż katedralne nauczanie.

**A.Cz.: Dlaczego zdecydował się pan akurat na naszą szkołę?**

K.J.: Całe moje dorastanie, dojrzewanie to jest Kraków, w którym mieszkalem przez 17 lat. Dla mnie jest on politycznie odległy, bo trudno uznać to miasto za lewicowe. Galicja zawsze miała inną tradycję zarówno polityczną, jak i społeczną czy intelektualną. To miasto ma jednak niepowtarzalną atmosferę. Tu jest mi dobrze i myślę, że na starość wrócę pod Wawel na stałe.

**A.Cz.: A czy uczy pan jeszcze gdzie indziej, bo słyszałam, że w Tarnowie?**

K.J.: Nie. Jestem co prawda związany z Tarnowem, ale na razie nie zdecydowałem się tam na wykłady.

**A.Cz.: A co pan robi obecnie w Tarnowie, bo to przecież z tym miastem związana jest pańska kariera polityczna?**

K.J.: Jedną z rzeczy, którą chcę zrobić, to trochę ożywić to umiarkowane galicyjskie miasto. Wielkie grody rozwinęły się, jeśli chodzi o inwestycje komunalne, wygład, estetykę. Ewidentny postęp widać także w mniejszych miastach. Jednak mentalnie wiele z nich się zatrzymało. Moja obecność w Tarnowie jest właśnie z tym związana. Będę próbował umożliwić temu miastu dalszy rozwój. Może zdecyduję się na pracę dydaktyczną, ponieważ środowisko studenckie odegra z pewnością wielką rolę w tym procesie. Jest ono bazą, iskrą i nadzieją.

**A.Cz.: Co pan porabia oprócz wykładów?**

K.J.: Jestem członkiem paru organizacji pozarządowych, w których próbuję

my budować nowe sieci społeczne. Wspieram również kolegów, którzy zajmują się informatyzacją. Wspólnie staramy się stworzyć ponadpartyjną strukturę polityczną, która zajęłaby się zapomnianą w Polsce dziedziną, czyli prognozowaniem. Działam też w partii, ale staram się żeby nie miało to wpływu na moje spotkania ze studentami, aby nie kolidowało z moją pracą.

Rozmawiała Agata Czarnota



Krzysztof Janik studiował na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, następnie doktoryzował się na Wydziale Nauk Politycznych na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Karierę polityczną rozpoczął w wieku 18 lat. Był jednym z założycieli partii SdRP i jej sekretarzem generalnym. Od założenia SLD w 1999 do 2002 sprawował funkcję sekretarza generalnego również w tym ugrupowaniu. W lutym 2002 roku został wybrany na wiceprzewodniczącego partii. W Sejmie zasiadał od 1993 do 2005 roku. W latach 1996-1997 był podsekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta, zajmował się sprawami samorządowymi. Uważany jest za specjalistę od kampanii wyborczych (uczestniczył i kierował kampanią w sztabie Aleksandra Kwaśniewskiego w 1995 roku oraz w 2000 roku, a także kampanią samorządową SLD w 1998 roku). W październiku 2001 roku, po wygranych przez SLD wyborach, został ministrem spraw wewnętrznych i administracji w rządzie Leszka Millera. W 2004 roku został przewodniczącym SLD. Obecnie, po przegranych wyborach (ordynacja proporcjonalna pozbawiła go mandatu poselskiego), Krzysztof Janik wrócił do swojego zawodu, czyli do roli wykładowcy akademickiego. Od października tego roku rozpoczął pracę w Krakowskiej Szkole Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.

Zwycięzca wyborów parlamentarnych, partia braci Kaczyńskich, już od dawna zapowiadała forsowanie w Sejmie wprowadzenia kary śmierci dla największych zbrodniarzy. Zatem czy teraz, przy wygranej Lecha Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich, wspólnie uda się bliźniakom przeprowadzić zapowiadaną reformę?

Obecnie najcięższym wyrokiem dla przestępcy jest w Polsce dożywocie. Swoją drogą, dziwna to dla mnie kara. Bo czymże jest owo dożywocie? Dla jednego 20, dla innego 40, jeszcze dla innego może ze 2 lata? W Stanach Zjednoczonych na przykład wydawane są precyzyjnie określone wyroki, w zależności od rozmiarów zbrodni, czyli 750 bądź 400 lat. Biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące, sąd może uznać kasację takiego wyroku o połowę i zostaje nam do odsiadki jedynie 200 lat... Każdemu według czynów (przynajmniej w aspekcie prawa).

## Po siódme – nie zabijaj...

*Kara śmierci jako najcięższy wyrok dla sprawców zabójstw popełnionych ze szczególnym okrucieństwem, pomimo deklaracji Prawa i Sprawiedliwości, nie ma realnych szans na zatwierdzenie w naszym kraju. Czy jednak jest ona złem ostatecznym, czy też sprawiedliwym sposobem na odkupienie winy?*

W Polsce sprawa wygląda mniej więcej tak: na to samo dożywocie skazuje się przestępcę za brutalne zabójstwo jednej, dwóch, jak i dwudziestu osób. Ale za dobre sprawowanie w większości przypadków mają szansę wyjść po 15 latach. Sprawiedliwe?

Wracając jednak do samej idei dożywocia... Utrzymanie takiego zbrodniarza przez resztę jego dni (na razie założmy, że nie wyjdzie po 15 latach...) kosztuje podatników – czyli Ciebie też! – dużo, dużo pieniędzy. Nabój karabinowy 2,50 zł. Rachunek ekonomiczny chamsko przejrzyście. Co jednak z moralnością?

Czy zabijanie człowieka – jakkolwiek był zły, za jego morderczy czyn, to dobra kara? Czy to w porządku z naszym jestestwem? Czy jest to oznaką barbarzyństwa, czy też rozwoju cywilizacji?

Krzeseł elektryczne, na którym siłą sadza się zwykłego – podobnego do nas – człowieka, szczerze żałującego za swój czyn i pragnącego oddać wszystko w zamian za drugą szansę – to powszechnie rodzący się w naszej głowie obraz skazanego na karę śmierci, po oglądnięciu filmu *Zielona mila*.

A czy zabijanie na wojnie jest niemoralne? Nikt nie podważał chyba dobrych intencji żołnierza strzelającego do hitlerowców, gdyż obraz wojny przedstawiamy sobie inaczej: oto źli napastnicy chcą nas zniewolić, podbić, wyzabić, a nasi chłopcy z karabinami bronią nas przed nimi. I wszy-

scy w czasie wojny modlimy się, by ci nasi pozabijali jak najwięcej „tamtych”. bo dzięki temu zwiększą się nasze szanse na przeżycie. A przecież na wojnie też ludzie giną przez pomyłkę.

Nieco trudniej jest nam wyobrazić sobie – co mnie trochę dziwi – że seryjny morderca to taki sam wróg, tyle że wewnętrzny. Bo jeśli tak, to winien być ukarany podobnie. Skąd jednak różnica w postrzeganiu tych dwóch sytuacji? Otóż podczas wojny ogamia nas paniczny, jakże ludzki, ale też jakże pogardy godny strach, że „tamci” przyjdą i po nas. Że front się zbliża, że mogą tu być, że zabijają mi mamę, dziewczynę, z którą jeszcze wczoraj się całowałem, psa...

Natomiast proces mordercy przekazywany przez media, w których między jednym serwisem informacyjnym a drugim widać więcej scen przemocy niż jesteśmy w stanie zarejestrować, dociera do nas jak przez mgłę. Jesteśmy w stanie nawet złapać się za głowę po ujrzaniu

beczek, w których wyrodna matka potopiła swoje dzieci, ale już kiedy przełączymy na inny kanał, powoli odpływa to w zapomnienie.

Z tego powodu, że wydaje nam się to tak dalekie i obce, nasze poglądy nie są tożsame z tymi podczas wojny. Nie dopuszczamy do myśli, że zbrodniarz, który odsiaduje wyrok, może celowo zachowywać się przyzwoicie, by wyjść i robić to samo. Że potem może trafić akurat w pobliże naszego domu i zabić nam brata, dziecko itd.

Dlatego podczas wojny ludzie syją kwiaty pod nogi tym, którzy z bronią na ramieniu maszerują zabijać wrogów ojczyzny, ale wroga wewnętrznego w ten sposób ukarać już nie potrafią.

Z kolei zapaleniem wprowadzenia kary śmierci za wszelką cenę, jako antidotum na przerażające rzeczy, dziejące się wokół, często umyka fakt, iż nie ma tak obiektywnego ciała prawnego, które bezbłędnie oceniłoby, czy taki a taki czyn był popełniony pod wpływem narkotyku czy świadomie albo czy ktoś został do niego w jakiś sposób zmuszony, czy też jest chory psychicznie i nie może do końca odpowiadać za to, co uczynił.

Jeśli kara śmierci zostanie zatwierdzona, w pewnej sali zbierze się grono prawników, którzy określą takie, a nie inne ramy kryteriów i kropka! Raczej niemożliwe wówczas będzie uniknięcie pomyłek *à la Zielona mila*. Jest to jednak ryzyko, które także występuje w czasie wojny, kiedy giną niewinni ludzie.

No i nie można zapomnieć, że chyba każdy powinien mieć szansę do zmienienia siebie. Choć nie każdy oczywiście będzie chciał. I to się wiąże ze stanowiskiem Kościoła i papieża – oni chcą dać tę szansę każdemu. Jest to stanowisko skrajnie miłosierne, podobnie jak skrajnie jest forsowanie kary śmierci za wszelką cenę. Jak wyważyć tu złoty środek? Czy jest w ogóle możliwy?

Stanowisko Kościoła katolickiego to temat tyleż obszerny, co zawili. Nasz nieodżałowany Ojciec Święty apelował, by nie zabijać, jednakowoż nie wydał żadnego dekretu ani encykliki w jasno postawionej sprawie, typu: „Kościół zabrania stosowania kary śmierci”. Jako człowiek sprzeciwiał się takiemu rozwiązywaniu tej kwestii, jednak nie potępił go jako głowa Kościoła.

Sam na hebrajskim się nie znam, ale dowiedziałem się, że poprawna forma siódmego przykazania winna brzmieć: „Nie morduj”. A to już znaczna różnica... Dlatego nie ma racji, kto twierdzi, że religia chrześcijańska zabrania wykonywania kary śmierci. Społeczności ludzkie na przestrzeni dziejów w ten sam sposób wyrывая chwasty pośród siebie. Trudno też karę tą nazywać „oko za oko, ząb za ząb”, bo zabójcę ośmiorga ludzi nie można osiem razy skazać na śmierć. To znaczy skazać można, ale z wykonaniem trudniej...

Warto też pamiętać, że dla niektórych pozostawienie przy życiu może być karą cięższą niż śmierć, jeśli kiedyś zdadzą sobie sprawę z tego, co uczynili. Jednakowoż w kraju z taką, a nie inną sytuacją społeczno-gospodarczą może się to okazać bardzo luksusowym sposobem resocjalizacji zwyrodniałych członków naszej społeczności. Kiedy bowiem ludzie uczciwi zmuszeni są żyć za parę groszy miesięcznie, niemal ciągle „jada” na długach, ledwo wiążąc koniec z końcem, najbardziej brutalni mordercy mają ciepłe cele i pełne talerze. A to już zbytnio sprawiedliwe – przynajmniej dla mnie – nie jest. Szczególnie mówiąc, wolałbym pieniądze przeznaczone na dożywocie przekazać dzieciakowi chorującemu na raka, bo on nawet pierwszej szansy nie dostał...

Niemniej jednak uważam, że nawet w IV Rzeczypospolitej wprowadzenie kary śmierci pozostanie mrzonką. Czy się komu podoba, czy nie – taki kraj. Wydaje się, że dobrze rozumieją to także politycy PiS-u. Nowy minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro tak bowiem mówił Tomaszowi Bohuszewiczowi na łamach „Nowości” z 17 X ubiegłego roku: „Według mnie nienaruszalność niewinnego ludzkiego życia powinna być obwarowana najsurowszą karą. [...] Mam jednak świadomość realiów i tego, że w obecnym parlamencie kara śmierci nie zostanie przegłosowana. Dlatego będę zwolennikiem kary bezwzględnego dożywocia, bez przepustek i przedterminowych zwolnień”.

A to już może mieć sens, bo skoro niejako „pozostaje” owo dożywocie, trzeba się skoncentrować na bardziej restrykcyjnym, bezwzględnym jego pojmowaniu. Wtedy może syty będzie i wilk, i owca cała.

Bartłomiej Misiniec

*Profesor, który twierdzi, że student Krakowskiej Szkoły Wyższej (może i innych uczelni także, nie raczył sprecyzować) skończy w Irlandii, wystawia sam sobie złe świadectwo...*

## Pro publico bono

Henry D. Thoreau, chodząc po ulicach rodzimego Concord, nie widział ludzi, lecz fraki, i z nieukrywaną ironią konkludował, iż niewielka różnica między burmistrzem a strachem na wróble przydzianym w te same szaty. Ja chodząc po korytarzach uczelni, widzę profesorów i studentów. A gdzie ludzie? Dlaczego duża część wykładowców schowała się za swymi tytułami naukowymi, a studenci tak pokornie przyjęli rolę „studenta nieczłowieka”? Wszak już na pierwszy rzut oka widać, że wszyscy jesteśmy ludźmi wyprostowanymi, myślącymi i zarówno studentom, jak i wykładowcom przyświeca ten sam cel – wykształcenie. A skoro tak, to dlaczego nie ma między nami *modus vivendi*?

Aby ktoś nie posądził mnie o gołosłowność, czy też niejasność, zobrazuję mą myśl. „I tak będziecie sprzedawać hot-dogi w Irlandii”. „Kupujecie sobie tu dyplomy, za dobrze wam...”. „Na Uniwersytecie Jagiellońskim byłoby to nie do pomyślenia, ale Wy tam nigdy nie będziecie studiować”. Nie uważam, by takie apostrofy czemukolwiek służyły. Zwłaszcza że autorzy podcinają gałąź, na której siedzą. Profesor, który twierdzi, że student Krakowskiej Szkoły Wyższej (może i innych uczelni także, nie raczył sprecyzować) skończy w Irlandii, wystawia sam sobie złe świadectwo i to trojaki. Po pierwsze – nie potrafi nauczyć, po drugie – bierze pieniądze za coś, czego wcale nie robi, wreszcie po trzecie – swój do swego...

Można by też mieć obiekcje co do słowności profesorów, doktorów... Każdy wie, że *Pacta sunt servanda* (Umów należy dotrzymywać), ale większość między drugim a trzecim wyrazem nerwowo chrząka, by słumić *non* (nie). Drodzy wykładowcy/ćwiczeniowcy, jak już coś obiecaliście (tego materiału nie będzie na egzaminie, test jednokrotnego wyboru, *colloquium* ustne...), to dotrzymajcie danego słowa. A jeśli rzeczywistość na to nie pozwoli, to udowodnijcie, że daleko Wam do polskich polityków, i wyjąkajcie nieśmiało „przepraszam” – to nie boli (fizycznie). Wszak wszyscy jesteśmy ludźmi i pewne normy obowiązują obie strony. Wszyscy mamy godność i nikt nie lubi się czuć zwodzony, mamiony... kartkówką, podczas gdy pytania dotyczyły imion sekretarzy zastępców wicedyrektorów.

W jakim stopniu taki test sprawdza wiedzę? Bliskim zeru. Człowiek musi się wykazać kombinowaniem – bo na pewno nie wiedzą. Zresztą jak tu się wykazać wiedzą, skoro nierzadko trudno się skupić. A w skupieniu przeszkadzają zarówno studenci, którzy co dopiero dowiedzieli się, że jest test, jak i eg-

zaminatorzy gaworzący sobie (wcale nie półgłosem, a już na pewno nie szeptem) o stresie, jaki to przechodzą, robiąc ów test. Co do pierwszych – studentów – Drodzy Wykładowcy, jak ktoś nazbyt liczy na Waszą wyrozumiałość, to zawsze można wyprosić. A co do drugich – wykładowców – jeśli egzamin stresuje, to zawsze można go nie robić. Jeśli jednak władze uczelni by na to nie spoglądały przychylnym okiem, to pragnę obwieścić radosną konsekwencję smutnej nowiny – w Polsce mamy osiemnastoprocentowe bezrobocie, ktoś się znajdzie na zastępstwo.

Proszę także o kontrolowanie swej dziecięcej sfery i niewyrzucanie studentom, którzy zdali na czwórki, piątki (ci zazwyczaj przychodzą na wpisy, reszta przygotowuje się do entej poprawki), że egzamin poszedł fatalnie, bo to jest nieracjonalne i... śmieszne – czy my aby mamy im to przekazać; sparafrazować słowa i powiedzieć, że są... kretykami? Dlaczego musimy się im narażać poprzez niewybredny epitet? Przekażcie im to, Drodzy Profesorowie, na poprawce sami!

Gwoli sprawiedliwości, przyznam, że student także nie jest bez skazy. Odbieranie telefonów na wykładach (acz to akurat nie dotyczy się tylko studentów... co woła o pomstę do nieba!), niezbyt inteligentne i kulturalne dialogi, wulgarne okrzyki... radości (może kur... trochę ciszej?!). kombinatorstwo przekraczające europejską normę nie są rzadkością, ale nie są też normą! Niemniej co niektórzy mogliby się dowiedzieć, z czego jest egzamin, zanim przybędą nań w swoim nowym dresie.

Dziwiły się, że opinię wśród studentów innych uczelni mamy taką jak Samoobrona pośród pozostałych ugrupowań politycznych, ale po części to nasze dzieło (mówię o studentach jak i o wykładowcach wyrażających opinię tu i ówdzie). Postaramy się także zrozumieć niektórych zakompleksionych studentów krakowskich uczelni, którzy podnoszą swoją samoocenę jak tylko potrafią – traktując studia na uczelni państwowej jako sukces i dzieło swojego dwudziestoparoletniego życia (na czterdziestolecie pochwała się magisteriami z czterech kierunków i wszelkimi odmianami nerwicy?). Acz to w niczym nie zmienia faktu, że musimy sami się postarać, byśmy byli inaczej postrzegani, i nie czekać, jak rząd polski, na pomoc... znikąd nieprzychodzącą.

Mówiąc zupełnie serio, proponuję, by fanatyczni kibice klubów piłkarskich wykazali się odwagą i przyklejali te precudnej wartości artystyczne „wlepki” na swoich sa-

mochodach czy czołach (również swoich) – zmanifestujcie publicznie i odważnie swą wiarę w klub nie-toaletowy. Proszę też o poczytanie... czegokolwiek. zanim rozpoczniecie dyskusję z wykładowcami (można zacząć od lektury *savoir-vivre*’u).

Może studenci przy rozmowie kwalifikacyjnej powinni rozwiązać test z zakresu kultury osobistej, a pracownicy tej uczelni winni mieć załącznik do umowy, podobnej treści? Efekt mógłby być piorunujący – na wykładzie pani profesor nie odbierałaby telefonu, tłumacząc się ważną rozmową z przedstawicielem rządu („No dobrze, kochanie...”), natomiast student nie dawałby upustu swej radosnej twórczości w toalecie – barbarzyńsko odbierając mi i tak jedną z nielicznych przyjemności tego świata.

Skoro pozwałam sobie na sugerowanie, co warto, a co nie, to kontynuując ten wątek, proponuję przemyśleć pracownikom tej uczelni ideał służby drugiemu człowiekowi – bez względu na to, jak śmiesznie, drażliwie, irytująco... brzmią me słowa. Bezpretensjonalnie korzystając z prawa, które sam sobie przyznałem, proszę także o nieskazywanie nas na wizyty u okulisty, bo tym się kończy wykład, którego głównym medium jest slajd, a nie wykładowca. To zabija w nas – jakkolwiek to zabrzmiało niewiarygodnie – chęć myślenia. Ośmielam się także zauważyć, że głównym założeniem wiedzy jest skrajnie możliwe odzwierciedlenie rzeczywistości (tu schowam się za murem z napisem „Zygmunt Barman”). A w dobie ponowoczesności płynnej zapamiętywanie liczb, nazwisk *et cetera* nie ma sensu, gdyż dziś są, a jutro nie...

Edukacja to nie produkt! Wiem, że teza niezgodna z rzeczywistością, ale dopóki nie uwierzymy, wbrew *ratio*, że magisterium to nie kwestia dziesięciu, piętnastu czy dwudziestu dowodów wpłaty, a praca na uczelni jest szlachetną służbą drugiemu człowiekowi, prowadzeniem go za rękę poprzez kręte uliczki wiedzy, dotąd my będziemy sprzedawać hot-dogi w Irlandii.

Staralem się unikać uogólnień, acz *explicit* pragnę powiedzieć, iż tekst nie jest adresowany do wszystkich. Na naszej uczelni jest duże grono wyśmienitych wykładowców, o szalenie szerokich horyzontach, a ich wykłady to sama rozkosz. Podobnie ma się sprawa ze studentami, których także nie chciałbym wrzucać do jednego wora. Pośród nich jest немало niesamowitych ludzi, ciekawych, symptomatycznych istot żądnych wiedzy.

Wyżwoleniec

# Niestrudzony ambasador sprawy polskiej

*Publikacje prof. Zbigniewa Brzezińskiego są skarbnicą wiedzy dla studentów nauk politycznych, stosunków międzynarodowych i historii*

Sytuację Polski na przełomie lat 70. i 80. możemy określić mianem „szczęścia w nieszczęściu”. W szczególności sytuacja międzynarodowa jeszcze nigdy po 1945 roku nie była tak korzystna dla kraju i „jutrzienka nadziei” nigdy jeszcze nie świeciła tak wyraźnie.

Jest 16 października 1979 r. Po raz pierwszy w historii papierem zostaje polski kardynał Karol Wojtyła. W tym czasie już prawie od roku jednym z głównych architektów amerykańskiej polityki zagranicznej jest polski patriota Zbigniew Brzeziński, a pułkownik Ludowego Wojska Polskiego Ryszard Kukliński, bliski współpracownik gen. Wojciecha Jaruzelskiego, przekazuje informacje o planach inwazji wojsk Układu Warszawskiego na siły NATO, dzięki czemu zapobiega wybuchowi III wojny światowej, której Polska, po raz kolejny, byłaby najtragiczniejszą ofiarą. Jan Nowak-Jeziorański ze swoją polską rozgłośnią Radia Wolna Europa pozostaje dla indoktrynowanych Polaków właściwie jedynym źródłem rzetelnych informacji o sytuacji nie tylko na świecie ale i w kraju. Prymas Stefan Wyszyński głoszeniem niewygodnej dla komunistów prawdy przyczynia się do zachwiania równowagi „Imperium zła”. W kraju rozpoczyna się festiwal „Solidarności”, która pomogła milionom zwykłych, prawych ludzi uwierzyć, że nie są sami i razem mogą przyczynić się do wyrwania Polski spod jarzma Sowietów.

Zbigniew Brzeziński, rzeczony doradca ds. bezpieczeństwa narodowego 39. prezydenta USA Jimmy'ego Cartera, już jako dziecko żywo interesował się polityką. Bardzo głęboko przeżył informację o śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego, która zastała 7-letniego chłopca w Przemyślu, mieście, z którego wyruszył na emigrację. Tam jego dziadek Kazimierz był sędzią i wielkim społecznikiem, to właśnie tam jego ojciec Tadeusz złożył egzamin dojrzałości. Późniejszy ostatni konsul RP w Montrealu, kustosz skarbów wawelskich w Kanadzie oraz inicjator zwrócenia ich narodowi do końca swoich dni był czynnym „ambasadorem sprawy polskiej” na kontynencie amerykańskim. To wielkiego formatu patriota i humanista, żołnierz – obrońca polskości i uczestnik „cudu nad Wisłą”, następnie orędownik współpracy polsko-ukraińskiej.

Sam Zbigniew do polityki trafił przez naukę, w wieku 25 lat został doktorem Uniwersytetu Harvarda i jednym z najmłodszych w historii wykładowców tej prestiżowej uczelni. Następnie związał się z Uniwersytetem Columbia i Uniwersytetem Johna Hopkinsa. Realny wpływ na politykę Stanów Zjednoczonych zaczął wywierać już za prezydentury Johna F. Kennedy'ego, któremu doradzał w sprawach polityki międzynarodowej. Ten współtwórca teorii totalitaryzmu wywarł duży wpływ na zmianę polityki prezydenta Lyndona Johnsona wobec ZSRR. Kiedy w latach 1973-76 kierował pracą Komisji Trójkątnej Davida Rockefellera, której celem było zacieśnianie współpracy elit amerykańsko-europejsko-japońskich, poznał jeszcze nikomu nieznanego gubernatora Jamesa Earla Cartera, który 16 grudnia 1976 r. nominował go na stanowisko szefa Rady Bezpieczeństwa Państwa. Przez *Cztery lata w Białym Domu* (tytuł książki ze wspomnieniami z RBP) Profesor, obok samego Cartera, sekretarza stanu Cyrusa Vance'a (od 7 maja 1980 r. Edmunda Muskiego-Marciszewskiego, Amerykanina polskiego pochodzenia), był najważniejszym architektem polityki zagranicznej USA, która charakteryzowała się dużym naciskiem na walkę o prawa człowieka, przez

komunistów ocenianą jako agresja „imperialnego wroga”. W 2002 roku polityka ta została doceniona przez wręczenie na ręce prezydenta Cartera Pokojowej Nagrody Nobla.

W swojej pracy, także poza Białym Domem, Zbigniew Brzeziński był niestrudżonym ambasadorem sprawy polskiej. Wraz z Janem Jeziorańskim skutecznie lobbował na rzecz przystąpienia Polski do NATO.



Zbigniew Brzeziński

Profesor utrzymuje stałe stosunki z krajem, ostatnio był członkiem honorowego komitetu organizacyjnego obchodów 25-lecia „Solidarności”. Jest fundatorem stypendiów dla najzdolniejszych absolwentów przemyskiego liceum (1800 dolarów rocznie). Jest także honorowym obywatelem miast w Polsce (m.in. Krakowa i Przemyśla) oraz ukraińskiego Lwowa.

Jako czynny pracownik Center for Strategic and International Studies w Waszyngtonie, utrzymuje rozliczne kontakty naukowe z Polską, m.in. z Instytutem Studiów Strategicznych w Krakowie oraz Południowo-Wschodnim Instytutem Naukowym w Przemyślu. W swojej działalności bardzo wiele uwagi poświęca sprawie zbliżenia polsko-ukraińskiego, gdyż uważa, iż leży to w bezpośrednim interesie obu państw.

Jest doktorem *honoris causa* wielu renomowanych uczelni, m.in.: Georgetown University w Waszyngtonie (USA), Williams College w Williamstown (USA), Fordham University w Nowym Jorku (USA), College'u Świętego Krzyża w Worcester (USA), Alliance College (USA), Uniwersytetu Wileńskiego Litwa, Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Warszawskiego, Akademii Obrony Narodowej. Jego praca naukowa, polityczna i społeczna została doceniona wieloma odznaczeniami, takimi jak: Prezydencki Medal Wolności, Order Orła Białego, Ukraiński Order Zasługi (I), Order Wielkiego Księcia Litewskiego Gedymina (I), Order Masaryka Republiki Czeskiej (I), Nagroda Huberta Humphrey'a, Nagroda U Thanta, David Rockefeller Leadership Award.

Publikacje Brzezińskiego, w tym 17 książek (ostatnia – *Wybór, dominacja czy przywództwo?*) są skarbnicą wiedzy dla studentów nauk politycznych, stosunków międzynarodowych i historii. Najbardziej prestiżowe tytuły światowej prasy stale drukują komentarze Profesora do skomplikowanej sytuacji geopolitycznej na świecie.

Grzegorz Lewandowski

*Najnowsze centrum handlowe w Krakowie to wizytówka współczesnej architektury oraz kolebka trendów mody całego świata.*

## Na randkę do Galerii „Kazimierz”

Kraków to magiczne miasto, urzekające swym pięknem, historią oraz wyjątkową aurą. Jest jednym z najważniejszych ośrodków kulturalnych, naukowych i przemysłowych kraju. To także „Perła Europy”, która przyciąga turystów z całego świata. Zwiedzający pomniki historii mogą również podziwiać osiągnięcia współczesnej architektury. Jednym z najnowszych dzieł tej sztuki w Krakowie, liczącym sobie około 36 tys. m<sup>2</sup> (pomijając powierzchnię miejsc parkingowych), jest Galeria Kazimierz nieopodal Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.

W sąsiedztwie zabytkowych ulic legendarnego Kazimierza, w samym sercu Krakowa, otwarto nowoczesne centrum handlowo-rozrywkowe. Przyciąga ono mieszkańców Krakowa oraz turystów wyjątkową zarówno ofertą handlową, jak i oryginalną architekturą. Nowo wybudowana galeria, na wzór warszawskiej Galerii „Mokotów”, szybko stała się miejscem spędzania wolnego czasu, zakupów, rozrywki, pogawędek czy spotkań w restauracjach. Także dla sporej części studentów naszej uczelni. Szeroki wybór asortymentu, różnorodność towaru na wiele godzin potrafią zaabsorbować naszą uwagę i nawet nie zauważymy, jak mija nam kolejna godzina. Oprócz zakupów spożywczych, można tu zapoznać się z najnowszymi trendami mody, kupić nowy telefon komórkowy w firmowym salonie Idei czy przeczytać książkę w Empiku. Wizażystki w kosmetycz-



Galeria „Kazimierz” to nowoczesne centrum handlowo-rozrywkowe

nym sklepie „Ingłot” poradzą paniom, jak zrobić nienaganny makijaż. Fryzjerki salonu „Hair Coif” dobrać odpowiednią fryzurę, a obsługa butików doradzi, co ubrać, aby być trendy. Również biegnąc na spóźnioną randkę, mężczyźni zdążą kupić różę.

Główny inwestor budowy, Glob Trade Center, zadbał o ciekawą i nietuzinkową wystrój wnętrza, co jednak nie jest tak wygodne dla klientów, jak mogłoby się wydawać. Kilkadziesiąt sklepów na dwóch poziomach, kawiarnie i alejki tworzą labirynt, w którym ciężko się odnaleźć. Co prawda, ułatwieniem mają być postawione gdzieś tam mapy sklepów, jednak najpierw trzeba wiedzieć, w którym miejscu się jest, aby móc zlokalizować następne. Niekiedy jest to zbyt dużym problemem i pomocy klientom udzielają pracownicy butików.

Przewidując wzmożony ruch pojazdów, inwestor zaplanował także przebudowę układu komunikacyjnego wokół centrum. Komfortowe warunki dojazdu do Galerii „Kazimierz” są możliwe dzięki nowoczesnemu mostowi Kotlarskiemu i rozbudowanym z niego zjazdom oraz planowanemu w przyszłości tramwajowi szybkiego ruchu. Najnowsze centrum handlowe w Krakowie to wizytówka współczesnej architektury oraz kolebka trendów mody całego świata

Marta Nowak

*Kradzieże w krakowskich klubach? Otóż tak! Jest to zjawisko powszechne i choć często słyszy się o takich przypadkach, rzadko kiedy zwracamy uwagę na samych sprawców. A warto byłoby się nad tym zastanowić i wyciągnąć jakieś wnioski. Dla własnego dobra.*

## Legalne łamanie prawa

Każdy zna taki scenariusz: późna godzina wieczorna, „płatanie” się po klubach w celu znalezienia wolnej „miejscówki”. W końcu lądujesz w ulubionym pubie bądź po nieudanych poszukiwaniach, po prostu, byle gdzie. Klub od tłumów pęka w szwach, a Ty szukasz miejsca na ułożenie swoich rzeczy; kurtki, torebki, plecaka, bo jak zwykle szatnia jest zamknięta, a nawet jeśli jest otwarta, to co z tego, jak i tak „pracownicy szatni za zguby nie odpowiadają” – sugerują umieszczane w lokalach tabliczki informacyjne (kolejny paradoks, bo w końcu za coś im płacimy). I tak zaczyna się nocny wiraż.

Ty dobrze się bawisz, a z czasem okazuje się, że gdzieś zawieruszyła się Twoja własność (Jak każdy to uwielbia! Prawda?). I nagle „bach”... czar dobrej zabawy pryska. Czasem gubisz tylko portfel, a często nawet i torbę z całą zawartością. Są dwa „motywy postępowania pourazowego”, że tak pozwolę sobie to określić. Pierwszy z nich to zignorowanie problemu pod hasłem „trudno, każdemu zdarzyć się może”, a gdy ktoś jest bardziej kontrowersyjny, donosi ochronie pubu, tak jakby wierzył w ich cudowne, wrażliwe wnętrza, które coś z tym fantem powinny zrobić. W końcu ochrona potencjalnie powinna przeciwdziałać takim akcjom, a wzbrania się przed odpowiedzialnością jak tylko może.

Po ostatnich osobistych doświadczeniach z tym związanych śmiem twierdzić, że jest to sprawa właśnie ich samych. Bo czyż nie jest skandaliczny fakt, iż po kilkunastu minutach, po zrobieniu afery w klubie,

portfel czy inne zagubione rzeczy nagle się odnajdują w niewyjaśnionych okolicznościach bądź ochrona zaczyna sugerować nam, jacy są wspaniali i obeznani w temacie kradzieży i proszą o przeczekanie kilku minut, bo przecież zguba zaraz się znajdzie? Fakt, ale bez rzeczy najcenniejszych. W najgorszym wypadku człowiek zostaje zrównany z ziemią, grożą mu czy też szantażują (co, bądź co bądź, wobec prawa podlega karze), a na koniec wyrzucają z lokalu. Bo i takie przypadki znam. W rezultacie obu tych zdarzeń Ty i tak zostajesz na marginesie, bez pieniędzy, dokumentów, telefonu komórkowego bez kluczy, pozostaje Ci jedynie wizja kolejnych wydatków, bo przecież trzeba wymienić zamki w drzwiach – nigdy nic nie wiadomo, wyrobić nowy dowód i tym podobne dokumenty.

Hm? Chwila refleksji... Czyż to nie skandal? Takie zachowanie narusza poszanowanie godności, jest wulgarnie, prostackie i po prostu nieodpowiedzialne. Czyżby „bramkarzy” nie obowiązywały podstawowe zasady komunikacji międzyludzkiej, a przede wszystkim kultury? Na to pytanie, jak sądzę, każdy znalazłby swoją odpowiedź, gdyż temat „Bramki” jest wciąż gorący. Jednak w kwintesencji tego, co przedstawiłam, nie pozostaje mi nic innego, jak przestrzec was przed podobnymi sytuacjami. Może jednak Polak mądry będzie i przed szkodą...

Kinzi

**K**SW. Wbrew pozorom rozszyfrować ten skrót nie jest tak łatwo. Studenci naszej szacownej uczelni nie mają z tym problemów, ale koleżanki i koledzy z innych krakowskich szkół zasypują nas, studentów Krakowskiej Szkoły Wyższej, coraz to nowymi nazwami. Pytanie tylko, dlaczego nasza szkoła wzbudza tak wiele emocji?! Uczelnia, choć młoda, prężnie się rozwija, budynek, w którym odbywają się zajęcia, pyszni się nad Wisłą, co może u jednych wywołać entuzjazm, a u drugich zazdrość.

„Frycz” w przeciwieństwie do innych uczelni ma do zaoferowania szeroki wybór kierunków, liczne stypendia, wymiany zagraniczne, praktyki w renomowanych korporacjach, a nawet naukę dwóch języków obcych. W przypadku państwowych szkół wykracza to poza margines możliwości. Komfortowe i dobrze wyposażone sale dydaktyczne oraz przyjazna atmosfera, jaką stwarzają prowadzący zajęcia wspólnie ze studentami, sprawiają że nauka staje się przyjemniejszą. Studenci mają do dyspozycji pracownię komputerową, stołówkę, bibliotekę, księgarnię, gabinet lekarski, a nawet bank. Wszystko to zlokalizowane jest w gmachu głównym. Jednym zdaniem można rzec, iż wszystko, czego student potrzebuje do szczęścia, jest w KSW.

Warto wspomnieć o wykwalifikowanej kadrze. Możemy pochwalić się profesorami z Uniwersytetu Jagiellońskiego czy Akademii Ekonomicznej. Dzięki dużej wiedzy i doświadczeniu tych wykładowców uczelnia utrzymuje wysoki poziom nauczania. Niedawno na

## U „Frycza” jest wszystko

*Śmiało można stwierdzić, iż ci, dla których skrót KSW oznacza „Kup Sobie Wykształcenie”, są po prostu zazdrośni...*



Nowy kampus KSW pyszni się nad Wisłą

zajęciach w jednej z krakowskich (publicznych) szkół studenci zaoczeni wraz z profesorem żartowali, że w KSW jedynym warunkiem uzyskania dyplomu jest... regularne opłacanie czesnego. Na-

zwalabym to paradoksem, gdyż ci sami studenci za swoją naukę podobnie jak my zobligowani są do płacenia, a ceny jednego semestru są porównywalne z naszymi! W tej samej uczelni za dobre wyniki w nauce wybitni studenci mogą otrzymać stypendium naukowe, które w niektórych przypadkach wynosi, o zgrozo, 1 złoty!! „U Frycza” za osiągnięcia naukowe można być nawet zwolnionym z opłat za czesne, więc nasuwa się pytanie, kto znajduje się w lepszej sytuacji!

Jestem studentką I roku politologii, jednak naukę w Kra-

kowskiej Szkole Wyższej rozpoczęłam od lutego. Wcześniej studiowałam na innej niepublicznej uczelni\*. Powodem mojej rezygnacji było przedmiotowe traktowanie studenta. Nieoficjalne motto szkoły brzmiało „Masz kasę, to się liczysz”. Wykładowcy wielokrotnie podkreślali, iż grubość portfela warunkuje wysokość ocen zdobywanych podczas sesji. Nie mogłam się pogodzić z takim stanem rzeczy, dlatego zasiłałam szerokie grono studentów KSW. Jestem bardzo zadowolona z tego wyboru, gdyż zjawisko snobizmu to tutaj kwestia niezauważalna. Wiedza jest miarą wartości studenta, który nie będąc represjonowanym, ma szansę w KSW poszerzać horyzonty.

Podsumowując, śmiało można stwierdzić, iż ci, dla których skrót KSW oznacza „Kup Sobie Wykształcenie”, są po prostu zazdrośni. Niejeden z nich z chęcią zamieniłby miejsce swojej edukacji na budynek usytuowany dumnie nad Wisłą, którego drzwi otwierają drogę do lepszej przyszłości, drogę do Krakowskiej Szkoły Wyższej...

*Patrycja Iwaniec*



Wszystko, czego student potrzebuje do szczęścia, jest w KSW

\* Z szacunku dla rektora nie podam nazwy tej uczelni

# SOCRATES/ERASMUS 2006/2007

## ZASADY UCZESTNICTWA STUDENTÓW KRAKOWSKIEJ SZKOŁY WYŻSZEJ IM. ANDRZEJA FRYCZA MODRZEWSKIEGO W WYJAZDACH DO UCZELNI ZAGRANICZNYCH

W roku akademickim 2006/2007 Krakowska Szkoła Wyższa uczestniczy w kolejnej edycji programu Socrates/Erasmus, który umożliwia wyjazdy na studia do uczelni partnerskich.

Osoby, chcące wziąć udział w programie, powinny złożyć w Dziale Współpracy Międzynarodowej (ul. Kanonicza 9) Kwestionariusz Zgłoszeniowy z dołączonym do niego Oświadczeniem (dostępny na stronie internetowej w części poświęconej współpracy międzynarodowej:

<http://www.ksw.edu.pl/dokumenty/erasmus3.pdf>).

Podczas wyboru uczelni zagranicznych z listy partnerów w ramach programu Socrates/Erasmus należy uwzględnić dziedzinę współpracy oraz język wykładowy.

### Rekrutacja będzie przebiegać według następującego harmonogramu:

28 marca 2006 r. (wtorek), godz. 13:00 – **spotkanie informacyjne (sala B203)**

19 kwietnia 2006 r. – **ostateczny termin składania Kwestionariuszy Zgłoszeniowych i Oświadczeń**

3 maja 2006 r. – **ogłoszenie listy osób zakwalifikowanych**

4-25 maja 2006 r. – **studenci zakwalifikowani składają dokumenty wymagane przez uczelnie zagraniczne**

### Komisja rekrutacyjna:

Prorektor Krakowskiej Szkoły Wyższej  
Dziekan wydziału, z którego pochodzi kandydat  
Uczelniany Koordynator Programu Socrates/Erasmus  
Sekretarz Komisji

### Kryteria kwalifikacji obejmują:

- spełnienie wymogów formalnych
- znajomość języków obcych
- średnią ocen
- uzasadnienie wyjazdu (opisane w Kwestionariuszu Zgłoszeniowym)
- pomoc w inicjatywach realizowanych przez Dział Współpracy Międzynarodowej
- działalność na rzecz uczelni np.: w kołach naukowych
- uczestnictwo w wykładach w językach obcych w KSW (do Kwestionariusza Zgłoszeniowego należy dołączyć potwierdzenie uczestnictwa podpisane przez prowadzącego)

prof. KSW dr hab. *Stanisław Kilian*

## Uczelnie partnerskie, z którymi Krakowska Szkoła Wyższa współpracuje w ramach programu SOCRATES / ERASMUS

| L. P. | Uczelnia                                                                                     | Dziedziny współpracy                                                       | Język wykładowy      |
|-------|----------------------------------------------------------------------------------------------|----------------------------------------------------------------------------|----------------------|
| 1     | Hochschule Harz - Hochschule für angewandte Wissenschaften, <u>Niemcy</u><br>D WERNIGE01     | Administracja publiczna, zarządzanie i marketing, turystyka międzynarodowa | angielski, niemiecki |
| 2     | Fachhochschule Ludwigshafen am Rhein-Hochschule für Wirtschaft, <u>Niemcy</u><br>D LUDWIGH01 | Zarządzanie i marketing                                                    | niemiecki, angielski |
| 3     | Evangelische Fachhochschule Berlin, <u>Niemcy</u><br>D BERLIN10                              | praca socjalna, zarządzanie i marketing                                    | niemiecki, angielski |
| 4     | Högskolan Dalarna, Falun, <u>Szwecja</u><br>S FALUN01                                        | Politologia<br>komunikacja społeczna                                       | szwedzki, angielski  |
| 5     | Kymenlaakson Ammattikorkeakoulu, <u>Finlandia</u><br>SF KOTKA06                              | nauki o rodzinie                                                           | fiński, angielski    |
| 6     | Fachhochschule St. Pölten, <u>Austria</u><br>A ST-POLT03                                     | Komunikacja społeczna                                                      | niemiecki, angielski |
| 7     | Universita degli Studi del Molise, <u>Włochy</u><br>I CAMPOBA01                              | praca socjalna, turystyka<br>politologia                                   | włoski, angielski    |
| 8     | Kodolányi János Főiskola, Szekesfehervar, <u>Węgry</u><br>HU SZVAR01                         | Turystyka, komunikacja społeczna<br>stosunki międzynarodowe                | węgierski, angielski |
| 9     | Universite Jean Monnet, <u>Francja</u><br>F ST-ETIE01                                        | Zarządzanie i marketing                                                    | francuski, angielski |
| 10    | Universite de la Mediterranee, Marseille, <u>Francja</u><br>F MARSEIL02                      | Administracja publiczna                                                    | francuski, angielski |
| 11    | University of Hull, <u>Anglia</u><br>UK HULL01                                               | Politologia                                                                | Angielski            |
| 12    | Nyiregyhaza Foiskola, <u>Węgry</u><br>HU NYIREGY04                                           | Marketing i zarządzanie                                                    | węgierski, angielski |

# Cwaniakowi zawsze lepiej...

*Listy obecności na wykładach miały być sposobem na sprawdzenie rzetelności studenta, szkoda że pomysł nie wypalił...*

Politycy walcą o temat lustracji, uczciwości i lojalności. W marketingu wciąż na topie temat budowania długotrwałego, pozytywnego wizerunku firmy, specje od PR zarabiają na niwelowaniu skutków delikatnych potknięć. CV bez wpisu o rzetelności i łatwości nawiązywania i utrzymywania pozytywnych stosunków z ludźmi to CV stracone.

Specjaliści od zarządzania nieustannie opracowują nowe metody kierowania zespołami ludzkimi, opierającymi się na odpowiednim systemie motywacyjnym. Tymczasem na studiach najłatwiej nauczyć się... cwaniactwa. Uczciwość tutaj nie popłaca. Konserwatywne zasady nas na uczelni, niestety, nie obowiązują. System najłaskawszy jest dla tych, którzy na zajęcia nie chodzą w ogóle, pod koniec semestru robią dobrą minę do złej gry, trzymając w ręce plik zwolnień lekarskich (wszystkich od tej samej osoby i z pieczęcią w tym samym miejscu) i w ostatnim, zazwyczaj najłatwiejszym kolokwium pozaliczają wszystkie przedmioty na oceny pozytywne. Uczciwość, broń Boże, nie popłaca! Znacznie lepiej mają ci, którzy nie umieją, bo nie boją się ściągać... Jeśli nie ściągną, i tak dostaną „banie”, więc co im zależy.

Listy obecności na wykładach miały być sposobem na sprawdzenie rzetelności studenta, szkoda że pomysł nie wypalił. Wystarczy „wpaść” na ostatnie zajęcia i podpisać się za wszystkie razy. Nawet jeśli prowadzący wykreśla niewpisanych po każdym wykładzie - jeszcze się nie zdarzyło, by ktokolwiek robił to systematycznie. Rzadko zdarza się też, by na liście było tyle osób, ile jest na sali.

Kolejnym doskonałym przykładem poszanowania studenta, który się uczy, jest egzamin kończący przedmiot. Oczywiście, nie we wszystkich przypadkach... Czasami faktycznie wiedza trzeba się wykazać. Zdarzają się jednak istne konkursy na najdłuższą ściągę albo egzamin, w których na pytanie należy odpowiedzieć jed-

nym słowem. Komu to ułatwia życie? Na pewno nie temu, kto się uczył! Przykładowy student ma bowiem wiedzę ogólną, wyniesioną z wykładów i nawet jeśli do egzaminu nie przygotuje się perfekcyjnie - coś zawsze napisze. Zdecydowanie jest to pomocne tym, którzy wiedzą niewiele, ale za to mają dobry wzrok. Nie dać odpisać, gdy wykładowca w tym nie przeszkadza - głupio i niekoleżeńsko. Dać odpisać komuś, kto cały rok nic nie robił, ale kolegów ma za sobą, i dostać tą samą ocenę - też głupio. Traci się wtedy motywację do jakiegokolwiek nauki.

Zalóżmy teraz, że obecna sytuacja uległaby zmianie, chodzenie na wykłady stałoby się obowiązkowe i było egzekwowane. Na wykładach zamiast 20, czasami 40 osób nagle pojawiłby się cały rok. Byłoby sprawiedliwiej? Pewnie tak, ale poziom hałasu w sali mógłby okazać się wystarczający do zagłuszenia najlepszego zestawu nagłaśniającego. Po raz kolejny straciliby studenci zainteresowani wykładem. Prowadzący studenta z sali wyrzucić przecież nie może, bo student za wykład zapłacił. Jak więc docenić tych, którzy chcą zdobywać wiedzę? Niektórzy wykładowcy znaleźli na to doskonały sposób: zwolnić z egzaminu tych, którzy z ćwiczeń uzyskali dobre noty. Całe szczęście, że sposób ten nie został opatentowany, bo znów jest to przykład na to, jak przypadek wpływa na ocenę.

W dużej mierze ocena zależy od tego, do której grupy ćwiczeniowej uczeń trafił. Nie ma niestety jednolitych kryteriów, uzgodnionych między różnymi prowadzącymi ten sam przedmiot. Nie ma nawet podobieństwa między kryteriami w różnych grupach u tego samego prowadzącego. Studenci są bezsilni, prowadzący też... Nie wiadomo, kto bardziej. Jak więc pogodzić naukę z uczuciem satysfakcji? Uczyc się od cwaniaków!

Coona

## Magazyn studentów „Mixer”

zaprasza wszystkich chętnych do współpracy!!!

Masz zapał, chęć do aktywnego życia?  
Nie lubisz stać w miejscu i jesteś żądny przygód?  
Nie czekaj!!! Napisz do nas!

---

Wszystkie informacje otrzymasz pod adresem  
[mixer@kte.pl](mailto:mixer@kte.pl) bądź w pokoju samorządu studentów KSW (043)

Krew  
 Dlaczego tyle krwi  
 Ból  
 Dlaczego tyle bólu  
 Strach  
 Dlaczego tyle strachu  
 Nienawiść  
 Ja boję się...  
 Sweet Noise

# Znieczulica totalna

*Zastanówmy się, dlaczego jest w nas tak dużo lęku przed tym, co może nas spotkać na ulicy, przejściu podziemnym czy meczu i co możemy zrobić, by to zaczęło się zmieniać, abyśmy kiedyś mogli żyć w bezpiecznym mieście, świecie?*

Tak do niej przywykliśmy, że już jej nie zauważamy. Nie reagujemy na jej przejawy a spotykamy się z nią prawie na każdym kroku. Rano, wieczorem, w szkole, w autobusie, nawet na przejściu dla pieszych. Dla wielu z nas stała się koleżanką lub nawet dobrą znajomą. O czym/kim mowa? O PRZEMOCY!

Co mnie obchodzi jakieś trzęsienie ziemi w Turcji czy samobójczy atak na Bali. Dlaczego? Bo to ogrom kilometrów stąd, bo nie znałem nikogo stamtąd, inna mentalność i zwyczaje. Odpowiedzi może być wiele. Jaka jest główna? Życie ludzkie straciło na wartości. Rzeczy, które dawniej były nie do pomyślenia, teraz są na porządku dziennym. Wiele z Was powie – nas to nie dotyczy, w Polsce jest inaczej. Czy na pewno? Nie trzeba szukać daleko, aby znaleźć zaprzeczenie.

Mieszkanie w Nowej Hucie. Lokalizacja szczególna, ale to wcale nie znaczy, że gdzie indziej nie mogłaby się zdarzyć podobna tragedia. Podczas rodzinnej sprzeczki trzech mężczyzn najstarszy z nich wyjął broń i strzelił synowi w twarz. Gdy wziął na celownik wnuka, ten w akcie desperacji wyskoczył z okna na drugim piętrze. Kiedy leżał na chodniku, jego dziadek próbował go trafić i oddał w jego kierunku kilka strzałów. Młody człowiek w stanie krytycznym trafił do szpitala, jego ojciec zginął na miejscu.

Kolejna tragedia. Koniec października pod „Żaczkiem”. Pewnie większość z nas o tym słyszała, choćby dlatego, że zginął tam student, a jego znajomy trafił do szpitala. Powodem była drobna sprzeczka. Dla napastnika był to wystarczający powód, aby zacząć przed klubem i wymierzyć „sprawiedliwość” tasakiem. Jednym ciosem zniszczył przyszłość swoją i ofiary.

Czy ludzie coraz mniej obchodzą takie tragedie? Według mnie tak. Dlaczego? Powodów jest kilka.

## Niezniszczalny

Telewizja, najważniejsze medium naszych czasów. Dla wielu z nas to drugi dom. Wystarczy nacisnąć guzik w pilocie, aby znaleźć się w innym świecie. W tej rzeczywistości każdy może zostać superbohaterem, „czarnym charakterem” lub po prostu zwykłym „nadczołowiekiem”. Dla żadnej z tych postaci nie stanowi problemu rozprawienie się ze stadem przeciwników, skok ze szczytu wieżowca i bezpieczne lądowanie na chodniku, skręcenie karku wrogowi podczas spożywania obiadu czy wygranie konkursu sałsy ze złamanymi nogami. Czy nas to porusza? Nie, przecież to tylko film. Jednak niektórym zaciera się poczucie tego, co jest filmem, a co prawdziwym życiem, oni zapominają o pewnych ograniczeniach ludzkiej wytrzymałości. Jedną ręką nie zatrzymasz po-

ciagu ani nie wyprostujesz podkowy, a jeśli kogoś uderzysz, to możesz mu zrobić krzywdę. „Życie to nie film” – jak mawiał pewien znany polski aktor.

## Zabij robala

Gry komputerowe kreują środowisko, które na wszystko pozwala. Bardziej niż telewizja, bo tu my sami kierujemy losami bohatera. Gry dzielą się na różne gatunki. W czołówce popularności zawsze znajdują się te, które zawierają elementy rywalizacji, przemocy, zabijania.

Jedna z pierwszych gier, które pamiętam, *Wolfenstein*, była jak na ówczesne możliwości graficzne bardzo krwawa. Oczywiście w porównaniu z dzisiejszymi: *Hitman* czy *Half Life*, nie robi już takiego wrażenia. Co w tych grach tak pasjonującego, że mają całą rzeszę zwolenników? Odpowiedź jest prosta – w nich możemy zrobić coś, czego nam nie wolno, i właśnie dlatego jest to tak pociągające. Świadczy o tym choćby popularność gier typu *Carnagedon* czy serii *GTA*. Pierwsza to wyścigi, w których liczba przejechanych przechoźniów ma wpływ na końcowy wynik, im więcej, tym lepiej oczywiście. W drugiej kierujemy zbrodnią, który pnie się w górę mafijnej drabiny ważności – tutaj pobicia, kradzieże i morderstwa są na porządku dziennym. Gdy mamy ochotę kogoś zastrzelić, po prostu to robimy. Po skończonej zabawie wcale nie trzeba wycierać dłoni z krwi, wystarczy wyłączyć komputer. I jeszcze uwielbiane przez rzeszę fanów *Wormsy*. Jaki jest cel gry? Wykończenie „robaczek” przeciwnika. Do pomocy mamy różne rodzaje broni palnej, środki wybuchowe, chemiczne włącznie z napalmem.

Podobnie jak w przypadku telewizji, gdy ktoś potrafi rozróżnić świat realny od komputerowego, a gry traktuje jako odreagowanie i pozbycie się stresu, wszystko wydaje się być w porządku. Jednak do końca tak nie jest. Nigdy nie mamy pewności, że w sytuacji kryzysowej nie zachowa się tak jak w grze. To jednak tylko „gdybanie”. Pewne jest natomiast, że w ten sposób oswaja się w widoku przemocy i krwi, a jej widok na ulicy może stać się czymś normalnym.

## Ślepa furia

Wychodzą wieczorami zapolować. Zapanować nad słabszym i upajać się uczuciem siły i władzy. Zaślepieni brutalnością, nie kierują się logicznym wyborem, więc każdy może stać się ofiarą: dziewczyna, chłopak, student, emeryt. Wiele z nas wieczorami boi się wychodzić na ulice. Jeśli już, to tylko w większych grupach.

Pod postaciami chłopców i dziewcząt kryją się nawet nie zwierzęta (bo one zabijają z potrzeby), tylko bestie. Biją, bo to lubią, dla kasy, z nudów, dla adrenaliny, dla zakładu. Ile było już śmierci dla głupich 2 zł. Dlaczego? Bo pozwala na to prawo, którego bandyci się nie boją, pozwala policja, która sama boi się odważnie działać. My – dlatego, że się przyzwyczailiśmy, odwracamy głowę w drugą stronę.

### „Krew na ostrzach noży”

Mecz kochanej drużyny. Dla wielu fanów ten dzień jest prawie jak święto. Ale część nawet nie pamięta, jaki był wynik. Liczy się liczba pobitych wrogów, czyli kibiców drużyny przeciwnej. Piłka jest jedynie pretekstem, żeby przelała się krew. Jak długo trwa już „święta wojna”? Ilu młodych ludzi oddało w niej życie, ponieważ kibicowało nie tej drużynie, której powinno, a ilu tylko dlatego, że miało pecha znaleźć się w złej minucie w nieodpowiednim miejscu? Ile już razy byliśmy świadkami pogoni z siekierami i nożami przez miasto? Ile razy jechaliśmy w strachu autobusem, bo jadący „na mecz” kibice rozrabiali? Na pocieszenie dodam, że kibole są tylko grupą, a dużo więcej jest prawdziwych fanów piłki nożnej, którzy kochają ten sport, kochają swoją drużynę, ale pozwalają także, aby ktoś kibicował innemu zespołowi.

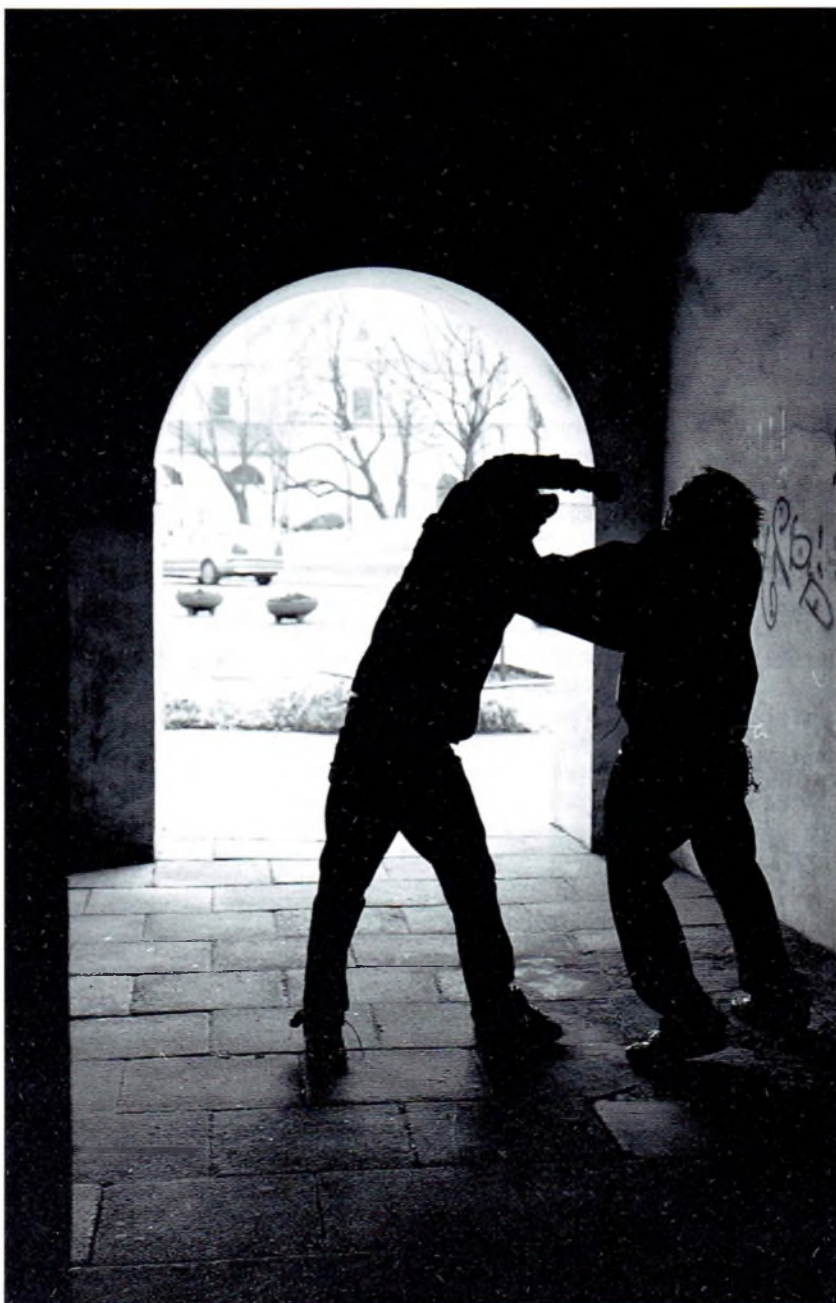
### Muzyka

Niektórych może to zdziwić, ale muzyka także może być źródłem agresji. Po pierwsze: gatunek. Według stereotypu ludzie słuchający głośnego, ciężkiego metalu z zasady są bardziej agresywni. Nie zgodzę się. To, czy muzyka wyzwała złość, zależy od osoby słuchającej, a nie od gatunku. Fani techno i transu mogą być równie skłonni do przemocy. Po drugie: tekst. Tutaj już sprawa jest poważniejsza. Piosenki, których słowa przepełnione są agresją i przemocą, mają bardzo duży wpływ na psychikę i mogą ją wypaczyć. Podobnie działa na słuchaczy wizerunek, który kreują kapele, wartości, jakie głoszą wykonawcy, lub ich brak, gdyż słuchacze bardzo często identyfikują się z zespołem.

### Statystycznie

Od stycznia do października 2005 r. jednostki policji województwa małopolskiego stwierdziły ogółem 95 791 przestępstw. W tym 73 227 przestępstw o charakterze kryminalnym:

- 35 - zabójstw;
- 822 - uszkodzenia ciała;
- 836- bójek lub pobić;
- 107 - zgwałceń;
- 7959 - z Ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii;
- 4185 - rozbojów i wymuszeń rozbójniczych,;
- 16223 - kradzieże z włamaniem;
- 21 187 - kradzieży mienia;
- 3437 - oszustw;
- 4764 - fałszerstwa.



Ogółem zatrzymano 28 651 podejrzanych, z czego przeciwko 25 809 skierowano wniosek o akt oskarżenia. Oprócz tego zarzutami objęto 2322 nieletnich.

### Nokaut

Nie będę rozstrzygał, czy oglądanie scen przemocy zawsze ją w nas wyzwala, czy zapewnia nam swoiste *katharsis*, czyli oczyszczenie. Czy gry komputerowe są złe, a teksty sprawiają, że jesteśmy bardziej agresywni? Wiem na pewno, że osławiają nas z nią. Przemoc staje się dla nas rzeczą normalną, codziennością, do której się przyzwyczajamy. Przez to coraz ciężiej nam ją zauważać w zwykłym życiu i reagować.

Zastanówmy się, dlaczego jest w nas tak dużo lęku przed tym, co może nas spotkać na ulicy, przejściu podziemnym czy meczu i co możemy zrobić, by to zaczęło się zmieniać, abyśmy kiedyś mogli żyć w bezpiecznym mieście, świecie?

Maciej Kozicki

Dane statystyczne pochodzą ze strony internetowej Małopolskiej Komendy Policji.

# Musiałam zjeść... ośmiorniczkę!

Ogromne skrzyżowanie w Tokio. Czerwone światło ustępuje wreszcie miejsca zielonemu i potężna fala ludzi nabiera prędkości, pędzi przed siebie coraz szybciej, zachłannie zagarniając coraz mniejsze czarne plamy szerokiego przejścia. Czuję jak chwytana zostaję szczelnym uściskiem i wpadam do wnętrza jakiegoś organicznego tworu, żywego organizmu składającego się z setek znacznie mniejszych.

Każdy z nich przygląda mi się ukradkiem, analizuje mój najdrobniejszy gest, ruch. Intuicyjnie robię krok w tył, obawiając się zderzenia z pędzącym tłumem. Ale moje obawy są absolutnie zbędne. Nawet najbanalniejsze przejście dla pieszych w tym mieście przypomina bowiem ogromny plac z promieniście pomalowanymi pasami, którego właściwie nie widać, gdy wszechogarniająca, szara masa ludzi skutecznie zalewa go na krótką chwilę.

Proza dnia codziennego zmusiła Japończyków do wielu ustępstw w niemal każdej sferze ich życia – chociażby urbanistycznej – dla wygody większości, stąd różnego rodzaju obiekty monstrualnej wielkości. Japonia liczy sobie około 128 mln ludzi, a w samym Tokio żyje ich 24 mln. Każdy z nich zajmuje zupełnie naturalnie przydzielone mu w tej hierarchii osobne miejsce.

## Włosy koloru blond

Kraków, początek listopada. Jest wyjątkowo zimno o tej porze roku, dlatego na lotnisku w Balicach wsiadam do samolotu w kurtce zimowej i ciepłych butach. Dwie godziny później, już we Frankfurcie, czekam na samolot do Tokio kolejnych sześć godzin. To moja pierwsza podróż tak daleko, dlatego następnych 10 godzin spędzonych w samolocie, okazuje się wyjątkowo męczących.

Port Narita. Wsiadam z samolotu z przeświadczeniem, że absolutnie nie pasuję do tutejszego środowiska. Bynajmniej nie ze względu na 182 cm wzrostu czy włosy koloru blond, choć niewątpliwie również z tego powodu znacznie różnię się od drobnych i ciemnowłosych Japończyków. Szybko zdejmuję ciepłą, wełnianą kurtkę, przechodząc przez skrawek nieklimatyzowanego przejścia w kierunku metra. Dzisiaj temperatura na dworze sięga 28 st. Celjusza, a najbardziej charakterystycznym, ku mojemu zdumieniu, elementem przyrody są wszędzie rosnące drzewa z dojrzewającymi pomarańczami. Dopiero właśnie tu, w Japonii, uświadamiam sobie, że są one żywym tworem natury i rosną dosłownie w zasięgu mojej ręki. Czuję prawdziwy, nieskrępowany ich zapach, który niczym delikatna bryza oplata nas mgiełką swojego soczystego aromatu.

## Can I help you?

Okolo godziny zajmuje mi przejazd specjalnym pociągiem do centrum Tokio. Z rezygnacją, duszą na ramieniu i po dwóch nieprzespanych nocach trudno trzeźwo ocenić sytuację w nieustannym gwarze i ferworze tu panującym. Z pomocą przychodzą mi sami mieszkańcy ogromnej aglomeracji. Wystarczy, że bezradnie rozglądam się po korytarzu łączącym niekończące się linie metra lub ostentacyjnie wyciągam mapę, a natychmiast zatrzymuje się przy mnie kilka osób, pytając, czy mogą pomóc. Ktoś cierpliwie tłumaczy mi, jak korzystać z metra, ktoś inny bezinteresownie od-

daje swój bilet, widząc, jak nieporadnie spieszę się z dwoma walizkami na nadjeżdżający pociąg.

Ostatecznie udaje mi się trafić do *ryokan* - malutkiego, japońskiego hotelu z *tatami* - tradycyjnymi matami zrobionymi z trawy. - Ten jest największy - mały chłopiec pokazuje mi mikroskopijnej wielkości pokój, mający zaledwie półtora metra szerokości, około dwóch i pół długości. Dopiero tutaj doceniam moje znacznie większe, ale dalej małe mieszkanie w Polsce. Czasem aż trudno uwierzyć, jak niewielkie powierzchnie Japończycy potrafią doskonale przystosować do codziennego użytku. Całe rodziny gnieźdzą się nieraz w dwupokojowym mieszkaniu, a 100-metrowy dom jest oznaką luksusu i bogactwa, na które mogą sobie pozwolić nieliczni. Jakże frustrujące wydaje mi się życie, w którym chwile intymności zażywa się jedynie w... toalecie, a i to nie zawsze się udaje.

Siedząc już na dość twardej macie, wypijam łyk zielonej herbaty i momentalnie zasypiam. Budzę się dopiero następnego dnia w południe. Różnica czasu pomiędzy naszym, europejskim a tokijskim to około 8 godzin, dlatego cały tydzień zajmuje mi przystosowanie się do tutejszej strefy czasowej i wilgotnego klimatu. Skutecznie przesypiam większą część dnia. Wstaję około pierwszej po południu, a słońce o tej porze roku zaczyna zachodzić mniej więcej o czwartej. Tokio odkrywam więc dopiero po zmroku.

## Parujące miso

Doskonały dostęp Japonii do morza determinuje wiele dziedzin i sfer życia, stąd tak dobrze rozpoznawana i ceniona na całym świecie japońska kuchnia. Tradycja to przede wszystkim mięso ryb i najlepsze owoce morza zupełnie niepoddane obróbce termicznej. Na pierwszy rzut oka kultura spożywania w ten sposób posiłków może budzić naturalny protest, dyskomfort lub niemal przerażać. Okazuje się jednak, że pokonując własny strach przed nieznanym i wewnętrzne lęki, odkrywamy różnobarwny świat najdelikatniejszych smaków i zapachów.

Rzecz jasna możemy zrezygnować z egzotycznych doznań podniebienia, jakie oferuje nam japońska kuchnia, i zanurzyć się



Jedna z turystycznych ulic Tokio w rejonie Shibuya

głębiej w naszym atawistycznym lęku. Możemy również, na zasadzie kompromisu, zadowolić się dobrze tutaj zadowoloną i niemal uznaną za własną kuchnią chińską, która poddaje obróbce niemal wszystko, z warzywami włącznie. Pozbawimy się jednak niepowtarzalnej okazji delektowania się mięsem dzikiego i najdelikatniejszego lososia - *ikura*, kilkoma rodzajami szlachetnego tuńczyka - *maguro*, *otono* czy najbardziej lubianą przez Japończyków *misoshiro* - sojową zupę rybną zrobioną z *dashi*, *miso* i tego, co akurat kucharz będzie miał pod ręką, nie popadając jednak w najmniejszą przesadę.

Nie będziemy mieć też żadnych problemów ze znalezieniem tradycyjnej restauracji, gdyż kuszą lub bardziej dosadnie - odpychają przechodniów jaskrawymi neonami, w których - niestety - Japończycy niepostrzegają się lubują. Żeby znaleźć w tym kolorowym gąszczu ulubioną *Sushi-ya*, miejscowi mają niezawodny sposób - zamawiają *tamago* - słodki, jajeczny deser. Zwiększając w ten sposób czujność *itansena* - mistrza *sushi*, który powinien wiedzieć, że tam gdzie *tamago* najbardziej im smakuje, tam również pozostałe potrawy będą najbliższe ich podniebieniu.

Środkowym i wskazującym palcem pokazuję *itansenowi*, ile *nigiri* - *zushi* - kawałków surowej ryby z ryżem - chcę zjeść. Po trzech sekundach i kilku zwinnych ruchach noża dostaję na liściu bambusa cztery kawałki *sushi*, parującą *misoshiro* i *ochę* - odłam moją ulubioną zieloną herbatę. Z drewnianej miseczki spoglądają błagalnie oczy jakiegoś morskiego stworzenia. Motywują mnie tylko spojrzenia rzucane ukradkiem przez moich współbiedniaków. Po pierwszym łyku *miso* i dwóch zjedzonych *sushi* wszyscy w *sushibarze* nazywają mnie *friend*. Zamawiają dla mnie kolejne kawałki tajemniczych rzeczy i wręczają mi słodkie drobiazgi *hand-made*. Na pamiątkę dostaję od *itansena* żółtawą wyrzeźbioną z rzodkwi ogromnym nożem oraz świętą górę *Fuji* - *San*, wyciętą tymże samym narzędziem w liściu bambusa, którą bez znużenia pokazuję znajomym.

Nieznajomość języka nie stanowi dla Europejczyka większego problemu w bezpośrednim kontakcie z kuchnią japońską, choćby nawet przez prozaiczny fakt, że Japończycy biegle znają angielski, mimo że kłopotliwa jest nieraz dla nas ich specyficzna wymowa. Między sobą porozumieją się jednak doskonale tymże charakterystycznym akcentem. W bardzo popularnych *Kaiten* - *zushi* sami wybieramy sobie *sushi*, które jest dla nas najbardziej atrakcyjne. Nawet nie musimy się wykazywać szybkością czy zdecydowaniem. Potrwa z pewnością wróci długim taśmociągami, a jeżeli nasz sąsiad uprzedzi nas zwinniejszym ruchem doświadczonych ręki, możemy poprosić *itansena*, by przygotował nam to samo. Oczywiście, bardzo często to najtańszy i najszybszy sposób zaspokojenia naturalnego skurczu żołądka, jednakże powinniśmy wykazać się zrozumiałą ostrożnością. W *Kaiten* - *zushi* kolor talerzyka odpowiada ustalonej cenie, dlatego wcześniej powinniśmy się zaznajomić z niekoniecznie takimi samymi dla każdego miejsca zasadami, gdyż zarówno one, jak i sama potrawa mogą się nawet znacznie różnić. Japończycy przywykli do coraz większego zainteresowania ich jakże odmienną kulturą, dlatego zdarza się, że obok obrazków lub nawet plastikowych odpowiedników każdego, wiernie imitowanego, dania znajdziemy greckie cyfry oznaczające jego pożądaną cenę lub nawet czytelny opis w języku angielskim.

Nieco bardziej skomplikowana wydaje się wizyta w restauracji z obsługą kelnerską, na przykład w *Soba-ya*. Tam zdecydowanie najbezpieczniej jest wybrać się z uświadomionymi osobami

w dziedzinie różnorodności japońskiego jedzenia, ponieważ menu pisane jest zazwyczaj w ich ojczystym języku. Jednak naturalna zapobiegliwość nie chroni mnie - o czym mam się dopiero przekonać, przed, dopiero czyhającym na mnie, traumatycznym przeżyciem. Znajomy zamawia specjalnie dla mnie coś co natychmiast przynosi kelner i z ogromnym zainteresowaniem przygląda się

mojej reakcji. W małej, ręcznie robionej miseczce leżą - dopiero co pozbawione życia - drobne, morskie stworzonka, których nie potrafię zidentyfikować. Nawet największa ufność dla tego, co obce i nieznane, czy mój wrodzony optymizm nie pomogły mi pozbyć się momentu grozy, obrzydzenia i rozpacz, która na pewno malowała się w moim błagalnym spojrzeniu. Mimo to gospodarz dzisiejszego wieczoru z dumą tłumaczy mi, że to lokalny przysmak. Bojąc się, że znieważę osobę, która mnie gości, wstrzymuję oddech, zamykam oczy i szybkim ruchem połykam jedno zwierzątko. Potakuję głową na znak aprobaty, starając się stłumić w sobie jednoznaczne reakcje mojego organizmu. Nieco już później dowiaduję się od pewnego Australijczyka, że taką... ośmiorniczkę (sic!) należy dokładnie przeżuć. Czasem mają one bowiem jeszcze odruchy pośmiertne i mogą przyssać się maczką na przykład do krtani...

## Styl à la Lolita

Parę minut przed północą przechadzam się uliczkami najstarszej części Tokio - *Ueno*, która wcale na taką nie wygląda. Metalowe wieżowce świecą kolorowymi reklamami i ze wzgardą spoglądają na nieliczne już pozostałości japońskiej kultury. Gdziekolwiek jeszcze można znaleźć, umiejętnie zakamuflowane, stare świątynie, przydrożne, zielone zagajniczki, kamienne posągi, monumenty, zdobne relikwiarze. Dla dzisiejszego społeczeństwa coraz mniejsze znaczenie ma ich własna, jakże stara historia z pięknymi tradycjami. New Age - bez jakiegokolwiek nostalgii za doświadczonym, poetycko-tajemniczym i mądrym - przyniosło jakiś wielobarwny pęd za Europą, Stanami Zjednoczonymi, ale w formie przypominającej nieco groteskę żywca z Mrożka, absurd do najdalszych granic przerysowane. Dlatego właśnie ze zdziwieniem przyglądam się młodym ludziom, którzy uwielbiają - na znak buntu, zerwania z tradycją czy bycia bardziej *trendy* - farbować sobie włosy na kolor na przykład



Rzesze wiernych tłumnie odwiedzają świątynię w Asakie

różowy niezależnie od płci, styl f la Lolita charakterystyczny dla kilkunoletnich panien, choć zapewne Nabokova nie czytały...

Tradycja znudziła się Japończykom. Coraz częściej odwiedzają sieć Mc Donald's, która powyrastała nie wiadomo skąd i straszy turystów nawet tutaj, choć przyznają, że w wersji nieco zmienionej i przystosowanej dla potrzeb rybolubnej społeczności. Odnoszę nawet, może niesłusznie zresztą, wrażenie, że ta pogoń za czymś nowym to skutek jakiś niczym nieumotywowanych kompleksów. Nuda, ale też i może chęć ucieczki przed presją otoczenia, zaborczą i angażującą niemal całe ich życie pracą, „wyścig szczurów”, i coraz większa liczba młodych i lepiej wykształconych ludzi wpływa na nich bardzo frustrująco. Ich ulubione rozrywki to najczęściej zabawa w licznych salonach gier, gdzie panuje jakiś straszliwy, ogłuszający hałas. Dlatego rozentuzjasmowanym Japończykom przyglądam się, w trosce o mój prywatny narząd słuchu zza szklanych drzwi. *Kareoke* również cieszy się sporą popularnością i przyciąga rzesze ludzi o niewątpliwie wygórowanych ambicjach. Dla nieco bardziej statecznego, głównie męskiego, grona powstały niekończące się animowane przygody w formie komiksów. Widok dojrzałego mężczyzny w czarnym garniturze, który z niekłamanym zainteresowaniem ogląda przygody nastolatki wracającej ze szkoły, wywołuje naturalny uśmiech nieświadomych Europejczyków. Tutaj natomiast wszyscy czytają komiksy i nie jest to powodem do żadnego skrepowania. Ci sami mężczyźni noszą nawet kolorowe, pluszowe breloczki przypięte do nieodzownych telefonów komórkowych, którymi notorycznie się bawią (elektronika i pogoń za najnowszymi technologiami to kolejna fascynacja skośnookiej społeczności). Oczywiście, jeżeli jeszcze mają na taką zabawę przeznaczony jakiś zasób energii, bo najczęściej, po godzinie 21 wieczorem, po całym dniu ciężkiej i wyczerpującej pracy, widzę ich w metrze przysypiających nawet na stojąco.



Japonia wprawia w zakłopotanie przyjezdnych najnowszymi technologiami.

### O – tera

Jakby na zaprzeczenie moich wcześniejszych przemysłów widzę świętujące tłumy. Każdy budynek upstrzony jest girlandami kwiatów, masek, ozdób... Wszyscy śmieją się, piją *sake*, jedzą kupione na niekończących się straganach smakołyki, a o północy gromadzą się przed świątynią. Starając się być czynnym obserwatorem, pociągam za długi sznur, uruchamiając ogromny dzwon, który leniwie i ospale jeszcze grzmi nad moją głową zbudzony niespodziewaną inicjatywą i odrobinę zdziwiony egzotyką zaistniałego wydarzenia. Rzucam przed siebie monetę i kadzę głowę. Taki rytuał ma mi przynieść szczęście i ochraniać przed złymi duchami czyhającymi na najmniejszą moją słabość. Za mną napiera tłum, który zachłannie próbuje schwycić ten sam koniec grubego sznura. Jeżeli za rok również wezmę udział w święcie i wrzucę dwie takie monety, czeka mnie dostatnie życie. Chętnych nie brakuje. Tych mniej cierpliwych, a może już odrobinę pijanych, upomina kulturalnie napiszone i wyrozumiała policja – zupełnie inna od tej naszej, napuszonej i gburowatej w Europie.

### Kamakura - Kyoto wschodniej Japonii

Podeksycytowana minionym wieczorem, w poszukiwaniu emocjonalnych wrażeń, wybieram się w podróż do *Kamakury* nazywaną czasem *Kyoto* wschodniej Japonii. Starożytna stolica, dzisiaj kolebka religijnej zadumy, jak również polityczne centrum odkrywa przede mną tego starego ducha, ten egzaltowany spokój wewnętrzny i natchnienie, którego tak natarczywie poszukuję. Dopiero tutaj dają się bezwolnie uwieść pięknym, zielonym ogrodom, zza których drzew nie wystają tym razem wszędobylskie wieżowce i nowoczesna technika. Prze-

chadzam się z pewną nostalgiczną zadumą po kamienistej ścieżce, żałując, że takich miejsc jest coraz mniej i są one raczej wyjątkowymi enklawami. Potężna postać Wielkiego Buddy niepodzielnie króluje tutaj również w dosłownym tego słowa znaczeniu, spogląda bowiem na nas z wysokości przeszło 13 m. To drugi co do wielkości taki posąg. Nieco wyższy od niego możemy znaleźć w świątyni *Todaiji* w *Nara*. Wielki Buddha to najbardziej stały punkt programu wycieczek turystycznych opi-

sany w każdym przewodniku. Odlany z brązu w dużym holu świątyni, został wymyty przez ogromną, pływową falę tsunami w piętnastym wieku i teraz znajduje się na terenie ziem należących do świątyni *Kotokuin*.

Kamakura to przede wszystkim atrakcyjny cel podróży zagranicznych gości, piękne świątynie, stare, kamienne, gdzieś po cichu znajdujące, uroczne posagi, momenty, relikwiarze... natchnione miejsce, gdzie możemy być bliżej siebie i na krótki czas zapomnieć o uciążliwych obowiązkach. Zauroczona, przechadzam się tętniącymi życiem malutkimi uliczkami. Jest już dosyć późno, dlatego widzę ludzi powoli wracających z pracy, którzy wypelzają niechętnie z podziemnych tuneli metra. Każdego dnia podróżują nieraz po kilka godzin w przepełnionych i dusznych pociągach. Dzisiaj są nieco bardziej ożywieni niż zwykle. Z opadającymi ze zmęczenia głowami nie starają się szybko zniknąć za najbliższym zakrętem. Przyglądam się rozbawionym przechodniom, którzy żywo gestykulując, opowiadają jakąś zabawną historię – to niecodzienny widok, który zapada we mnie tym mocniej.

Japończycy niezmiennie rzadko otwierają się przed sobą. Stres, ciężka praca, notoryczny brak czasu robią swoje... Nie jest łatwo sprostać wszystkim oczekiwaniom, dlatego z takich krótkich momentów potrafią korzystać i bez skrepowania, po prostu, cieszyć się. Niestety, znaczna część tego społeczeństwa to alkoholicy. Upijają się *sake*, by choć na chwilę zapomnieć o przykrych obowiązkach. Z zadumą przystaję na chwilę, by jak najwięcej tego gwaru zatrzymać dla siebie. Jutro w metrze spotkam tych samych ludzi. Opatrzni kamiennymi twarzami, będą ukradkiem zerkać w moją stronę...

Tekst i zdjęcia  
**Monika Liber**

# Elektra nie elektryzuje

*Nowa sztuka w reżyserii Barbary Sass-Zdort na deskach Teatru im. Słowackiego*

Trzy tygodnie temu na deskach Teatru im. Słowackiego w Krakowie obejrzałam słynną *Elektrę*. Słynną mówię dlatego, iż cały Kraków tonie w plakatach reklamujących tę sztukę i nie sposób nie zauważyć co najmniej jednego z nich.

Barbara Sass-Zdort, reżyser tej tragedii, ma już na swym koncie adaptacje m.in. *Czarodziejskiej góry* Tomasza Manna i *Idioty* Fiodora Dostojewskiego, która to przyniosła jej uznanie, zyskując pozytywne opinie krytyków i zostając wybraną jedną z najlepszych sztuk teatralnych 2002 roku. Toteż zapewne ze względu na faktyczne osiągnięcia autorki spektakl ten jest tak gorąco polecany.

Co prawda koneserką sztuk teatralnych nie jestem, a jeśli chodzi o twórczość Barbary Sass, to widziałam tylko *Czarodziejską górę*, niemniej śmiem twierdzić, że adaptacja *Elektry* do najlepszych nie należy. Mnie na pewno nie zachwyciła. Rozumując nawet prawa rządzące aktorskim rzemiosłem, a konkretnie rzemiosłem aktorów teatralnych - mam tu na myśli potrzebę wyrazistości przekazywanych uczuć - to trudno było mi się przekonać do nieskoordynowanych, przejawskawionych ruchów i gestów głównej bohaterki, Elektry. Dramatyzm w grze aktorów jest jak najbardziej rzeczą wytłumaczalną i pożądaną, ale sztuczność i nienaturalność, którą powoduje w moim mniemaniu stanowiący nadmiar dramatyzmu u głównej bohaterki, czyni z tej tragedii raczej parodię. A parodia, jak nazwa wskazuje, to komiczne naśladowanie poważnych gatunków literackich lub stylu sławnych autorów. Gra aktorska powinna być tu tym bardziej wiarygodna, iż cały spektakl w zasadzie ogranicza się do czystej gry aktorów, w minimalistycznym stopniu wykorzystując atrybuty i posługując się scenografią.

Nie wspominam już nawet o *katharsis* ('oczyszczenie, uszlachetnienie uczuć człowieka'), które powinno być celem tragedii, tym bardziej jeszcze, że utwory Sofoklesa poruszają tak ważną sferę dla człowieka, jak moralność, próbując odpowiedzieć na pytanie: jakie prawo jest ważniejsze - państwowe (ludzkie) czy naturalne (boskie)? Ja wyszłam z teatru raczej zawiedziona, nie do końca czując istotę i powagę problemu. Uważam *Elektrę* raczej za porażkę w dorobku artystycznym Barbary Sass.

Xana



## Niezwykły obraz kobiecej psychiki

*Warto sięgnąć po książkę „Portret Damy” Henry’ego Jamesa*

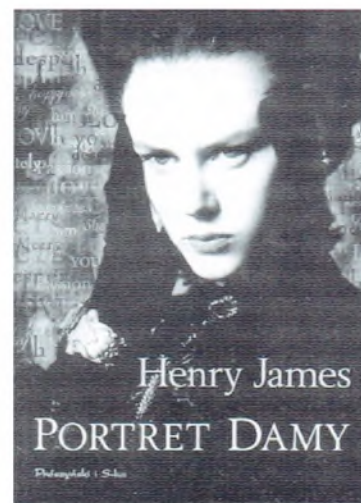
Książka *Portret Damy* Henry’ego Jamesa przedstawia życie młodej Amerykanki, która wraz z przyjazdem do Europy wkracza w świat tajemnic i intryg. Poznaje swoją rodzinę, o której istnieniu słyszała tylko w opowieściach. Splot przypadków owocuje odziedziczeniem ogromnego spadku, który ma jej umożliwić realizację życiowych ambicji. Odrzuca trzech adoratorów, którzy pokochali jej prostotę i czystość intencji, lecz przyjęła oświadczyzny zgorzkniałego łowcy posagów, tyrańca.

Isabel Archer, na początku ujmująca spojrzeniem na świat i swym urokiem, chcąc zwiedzać świat, podróżować; młoda kobieta łamiąca konwenanse, stawiająca sobie górnolotne cele, ostatecznie ulega i pogrąża się w cieniu władczego męża. Dowiaduje się jednak o mrocznej tajemnicy Gilberta Osmonda. Czy to zdarzenie odmieni wszystko? Odpowiedź na to pytanie autor trzyma do końca opowieści.

Co jeszcze wydarzyło się w życiu Isabel Archer, młodej damy zachwyconej pięknem i ogromem świata? Jakże były motywy jej postępowania? Dowiesz się, sięgając po doskonałą powieść psychologiczną

angielskiego klasyka Henry’ego Jamesa. Wprawdzie nie czyta się jej z zapartym tchem, lecz gwarantuję, że zakończenie będzie zaskakujące. Dzieła tego pisarza należą do listy najlepszych w swoim rodzaju, o czym świadczy chociażby fakt, iż *Portret Damy* doczekał się ekranizacji w reżyserii Jane Campion. Film (główną rolę zagrała w nim Nicole Kidman) zdobył kilka nagród, w tym dwie nominacje do Oscara.

Marta Kowalewska



# Muzyka to impuls

Z debiutującą grupą rockową *De Vils* o muzyce, warsztacie i komercji rozmawia Bartłomiej Misiniec

**Bartłomiej Misiniec:** Dlaczego akurat rock?

Mateusz Ziółko: Dlaczego rock?

**B.M.:** No rock, a nie np. jazz, blues, disco polo...

M.Z.: Nienawidzę disco polo.

Marcin Pilch: Tak jak ja.

**B.M.:** Już dobrze, zanim rozpętaacie gromy, powiedzcie, co skłoniło was do realizowania swego muzycznego powołania w takim, a nie innym prądzie?

M.Z.: Od zawsze, jeśli słuchałem jakiegokolwiek muzyki komercyjnej, to był to rock'n'roll. Wychowałem się na zespołach takich jak *Toto* czy z rodzimych na *Lady Punk* i *Perfekt*.

M.P.: Granie rocka umożliwia mi wyrażenie własnego „ja”. To od zawsze we mnie tkwiło... I będzie tkwić.

M.Z.: No i żeby być zupełnie szczerym, druga taka czysto komercyjna sprawa – rock'n'roll zawsze dobrze się sprzedawał.

**B.M.:** No i właśnie. Bo zapewne zdajecie sobie sprawę z tego, że wchodząc w ten szeroko rozumiany świat show-businesu, zostaniecie przepuszczeni przez taką maszynkę...

M.Z.: ...przez sito.

**B.M.:** Tak, sito rozmaitych speców od marketingu, wizerunku itd. Jaka jest zatem wasza granica, do której możecie się posunąć, spuścić z tonu?

M.Z.: Na pewno nie pozwolę zrobić z siebie jakiegos Kena.

M.P.: Znajęć charakter mój i chłopaków, raczej trudno by było nami sterować.

M.Z.: W sztuce zawsze stawiam na bycie sobą. Za ważne uważam to, by nie dać się stłamsić, przerobić. My mamy o tyle komfortową sytuację, że nie jesteśmy pod presją żadnych wielkich wytwórni płytowych, produkujących plastikowe piosenkarki, gdyż podpisaliśmy kontrakt z prywatnym producentem. Pełna swoboda tworzenia to jest to.

**B.M.:** Pytam, bo często młode zespoły mają problem z zachowaniem swej tożsamości. Nierzadko grupa buntowników kończy śpiewając kołysanki.

M.Z.: Ludzie potrzebują prawdy. Jeżeli wychodzę na scenę, muszę pozostać sobą. Nie mogę włożyć czegoś, w czym źle się czuję, mówić tego, co mi ktoś każe, bo muszę... nie muszę, chcę przekazywać ludziom to, co mam w sercu.

**B.M.:** Jak więc, z punktu widzenia młodego, prężnego zespołu, wkraczające-

go z całą werwą w świat, ocenianie polską scenę muzyczną? Ile tu prawdy, a ile sztuczności?

M.Z.: Niestety, łatwo można zaobserwować – co mnie boli – zjawisko masowej produkcji wyłącznie dla pieniędzy. Do tego stare zespoły, legendy, dosłownie i w przenośni, odchodzą powoli do lamusa, z czym nie chcą się pogodzić. Tym samym blokują po prostu młodych.

**B.M.:** Odbiegając od tego, co was boli, przejdźmy do przyjemniejszego tematu. Co z ulubionym wykonawcą? Kto to jest, co w nim podziwiacie, a co sami chcielibyście przeszczepić?

M.Z.: Zdecydowanie moim pierwszym wielkim idolem był Elton John – jeżeli chodzi o muzykę rozrywkową, bo wcześniej parałem się klasyką. Zafascynowała mnie jego gra na pianinie. Zaczynając przygodę z rockiem, początkowo starałem się w jakiś sposób wzorować na nim, nawet pewne rzeczy plagiatowałem.

M.P.: Ja z kolei mam świra na punkcie U2. Podziwiam zwłaszcza styl ich perkusisty. Lary'ego, który gra prosto a efektywnie. Jest moim idolem, jeśli chodzi o bębny. Natomiast w zespole słucha się różnej muzyki. Przez to, że Mateusz lubi Eltona, wniósł specyficzne brzmienie pianina, moja i Łukasza fascynacja U2 rockandrollowy styl, a zamiłowanie Maksa do ostrzejszego rocka i metalu dodało charakterystycznego pazura do tej naszej mieszanki, która z czasem przekształciła się w indywidualny styl.

**B.M.:** O czym śpiewacie?

M.Z.: To, o czym chcę śpiewać, to nasze życiowe problemy, które wszystkich dotyczą. Idealnie byłoby, gdybym mógł dać ludziom jakieś pokrzepienie. Nie darmo przecież dobrych muzyków nazywa się lekarzami dusz. Poprzez sztukę bardzo mocno można wpłynąć na poczynania ludzi.

**B.M.:** Music can be a weapon?

M.Z.: Bono (U2) powiedział: *Music can change the world*. I coś w tym jest! Zadzwoniła kiedyś do mnie dziewczyna, która przez przypadek posłuchała naszej płyty, a dokładnie piosenki „Dobre i złe chwile”. Wzruszona, chciała podziękować, bo po czterech latach, z płaczem, poszła do kościoła. Wtedy dotarło do mnie, jak wiele dobrego mogę zrobić.

**B.M.:** Łatwo wymyśla ci się muzykę?

M.Z.: To jest impuls. Nigdy nie mam tak, że siadam i... o, teraz będę pisał! Wtedy

to nie jest sztuka. Ona musi płynąć z wnętrza. Dałbyś radę napisać książkę na zamówienie?

**B.M.:** No, nie.

M.Z.: Właśnie. Wena może zaskoczyć nas wszędzie – podczas jazdy samochodem, pracy, szkoły. Najlepsze rzeczy powstają pod wpływem impulsu.

**B.M.:** Zapisujesz?

M.Z.: W miarę możliwości.

**B.M.:** Ja też. Nawet na biletach. Nauczyłem się nie ludzi, że zapamiętam.

M.Z.: No i słusznie. Ty masz trochę prosciej – możesz zapisać bezpośrednio. Ja muszę posługiwać się interwałami.

**B.M.:** Co jest dla ciebie ważniejsze: forma - melodia czy treść - tekst?

M.Z.: Nie rozgraniczałbym tego. To swoista symbioza artystyczna, która w sumie składa się na przekaz.

**B.M.:** Czasami bywa, że nie pamiętam słów, ale sama melodia telepie mi się po głowie, a innym razem słowa potrafią zapaść głęboko, melodia zaś odpływa.

M.Z.: Wydaje mi się, że zależy to od słuchacza. Poza tym ja dzielę ludzi na tych, co słyszą, i tych, którzy słuchają.

**B.M.:** (śmiech) Dobrze! Powiedzcie więc, czym zasadniczo jest dla was muzyka?

M.Z.: Wszystkim! Całym moim życiem. Gdyby nie ona, czułbym się strasznie pusty. Nie wiem, czy dałbym radę bez niej żyć.

M.P.: Ona jest jak narkotyk – uzależnia! Raz spróbowałem i już nie chcę przestać.

**B.M.:** No to teraz o zespole. Jak długo istniejecie, kiedy się poznaliście?

M.Z.: Stuknęły już trzy lata. Poznaliśmy się na Orawie, skąd wszyscy pochodzimy. Marcin i Łukasz, bracia, grali wcześniej w zespole *Kuźnia*. Ja i Max, basista, też graliśmy, choć osobno. Kiedyś postanowiliśmy wystąpić wspólnie, no i tak się zaczęło.

**B.M.:** Kto wymyślił nazwę?

M.Z.: Ja (śmiech). Wpadłem na pomysł, żeby nazwać nas *De Vils*, bo w sumie to z nas kawał... hm, nieważne. Samo zaś rozdzielanie tego wyrazu ma symbolizować cząstkę dobra, białą duszę w ciele każdego złego człowieka.

**B.M.:** Pierwsza kasa?

M.Z.: Pamiętam, że miałem jakiś koncert w Miechowie, i wracając ze studia w Nowym Targu, gdzie nagrywałem pierwszą próbę muzyczną, spotkałem na dworcu PKS Maksa i Tomka, pierwszego gitarzystę.

Nieśmiało zapytałem, czyby ze mną nie zagrali. Zgodzili się, no i pojechaliśmy. Coś tam poćwiczyliśmy wcześniej. Graliśmy same ballady Eltona Johna i *Lady Pank*. Ludzie pozazępiali (*śmiech*). No, taka 50-procentowa kompromitacja. Ale dostaliśmy za koncert 250 zł.

**B.M.: Burzuje!**

M.Z.: (*śmiech*) No, straszne. 50 zł poszło na paliwo. 50 dałem bratu, za co z namijechał. Zostało do podziału po 50, więc przedzieliliśmy to zaraz w McDonald's, i tyle tego było.

**B.M.: Jak więc udało się wam zakupić pierwszy sprzęt?**

M.P.: W dużej mierze dzięki współpracy z Andrzejem Dziubkiem z *De Press*. Umożliwiło mi to w wieku 14 lat, za własnoręcznie zarobione pieniądze kupić profesjonalną perkusję, a mojemu bratu dobrą „paczkę” i gitarę. Tym sprzętem zasililiśmy *De Vils*. Z kolei Maks za odkładane pieniądze kupił samą deskę, potem gryf i tak stopniowo samodzielnie skompletował gitarę basową, która z powodzeniem służy mu do dziś.

**B.M.: Wiem, że zakosztowaliście już pracy w profesjonalnym studiu.**

M.Z.: Tak, to chyba najprzyjemniejszy moment w pracy muzyka. Siedzisz zamknięty z akustykiem i... tworzysz.

**B.M.: Myśli tak krążyć, że trzeba okna otwierać?**

M.Z.: (*śmiech*) Ja nie wiem, czy to myśli, czy dym papierosowy.

**B.M.: Z tego, co słyszałem, ukazało się już demo z próbą waszych możliwości...**

M.P.: Tak, wydał je magazyn muzyczny „Brzmienia”, do wydania dołączono naszą płytę. To czasopismo branżowe, rozsyłane do wytwórni płytowych, rozgłośni radiowych, stacji telewizyjnych i producentów. Początkowo miało się ukazać z teledyskiem, ale w końcu to odwołano.

**B.M.: A zatem macie też na koncie teledysk?**

M.P.: Jakkolwiek by na to patrzeć, to fakt...

**B.M.: No więc kiedy, nawet z poślizgiem, możemy się spodziewać waszej pierwszej płyty?**

M.Z.: Myślę, że jak wszystko pójdzie dobrze, to już na wiosnę powinni się ukazać chociaż singiel.

**B.M.: A co z żywym graniem? Koncertujecie ostro?**

M.P.: Zaczynaliśmy od występu na Orawskim Lecie (*śmiech*) i udziału w różnych konkursach muzycznych (Stabat Mater, Sacro Song). Zajęliśmy też II miejsce na Ogólnopolskim Festiwalu Rockowym w No-

wym Targu, gdzie zaproszono nas jako support przed *Perfektem*, *Lombardem* i grupą *Vox*. W Krakowie zagraliśmy koncert wraz z zespołem *Galicja*. I tak krok po kroku wspinaliśmy się wyżej, aż do naszego największego sukcesu, jakim był występ w poznańskiej Arenie.

**B.M.: Obycie ze sceną macie więc siłą rzeczy...**

M.Z.: Na obecnym stadium myślę, że tak.

**B.M.: Co z tremą? Mija po tylu latach grania?**

M.P.: Ten lęk, żeby czegoś nie zepsuć, zostaje. Perkusja to podstawa – nie możesz się pomylić. Ja jednak potrafię się tak skoncentrować na tym, co robię, że nic innego się nie liczy. Zapominam o całym świecie. Liczy się tylko gra...

M.Z.: Ja z kolei traktuję publiczność, jak gdyby byli to moi znajomi. Po prostu z nimi rozmawiam.

**B.M.: Recepta na sukces?**

M.Z.: Eh... Po prostu trzeba być sobą i robić to, co się lubi, a sukces przyjdzie sam. Jeśli ciągle myślisz o tym, żeby jak najszybciej zostać gwiazdą, to nic nie osiągniesz.

M.P.: No i ciężka praca. Od kiedy skończyłem 10 lat, kumple biegali za piłką, a ja po powrocie ze szkoły waliłem w bębny. Codziennie.

M.Z.: Jeśli pracując w studiu, przez cały czas zastanawiasz się, ile się tej płyty sprzeda i ile na tym zarobisz, to to jest komercja!

**B.M. Jeszcze kilka słów dla młodych gniewnych, którzy są w waszym wieku, mają ze dwie gitary, złożyli się na perkusję i grają! Jak to smakuje?**

M.Z.: Smakuje gorzko. My postawiliśmy wszystko na muzykę i od trzech lat staraliśmy się do czegoś dojść. Po pierwsze, nie mamy takich pieniędzy, które by pozwoliły nam się samym wypromować. A tu potrzebne są cholernie duże pieniądze! Trzeba też mieć kontakty, których nie mamy, a o które dopiero jakoś zabiegamy. Więc my nikomu radzić nie możemy. Ale z takich czysto mechanicznych spraw: trzeba być bezczelnym, wypychać się wszędzie z łokciami, a przy tym cenić się i nie dać sobą manipulować. Jeśli sam się nie będziesz cenił, nikt cię nie doceni. No i trzeba żyć ze świadomością, że z początku trzeba będzie cierpieć niedostatek. Wtedy może kiedyś ludzie wyniosą cię na piedestał.

M.P.: Jeśli to kochają, jeśli ich największym marzeniem jest przejść przez życie, trzymając gryf bądź pałki w dłoni, i jeśli mają do przekazania coś, czego nikt przed nimi jeszcze nie przekazał, niech prą do przodu!

**B.M.: No to jeszcze na koncie: obrać się w środowisku Krakowa, słyszeście coś o mojej szkole, KSW?**

M.Z.: (*drapanie po głowie*)

M.P.: Głupie pytanie. W końcu ze mną mieszkasz! (*śmiech*)

**B.M.: Bo o tym, że mamy najładniejszą studentkę, pewnie wiecie...**

M.Z.: Coś słyszałem (*śmiech*).

M.P.: Z tego, co się od ciebie nasłuchałem, mogę wywnioskować, że ładniejszych nie ma w całym Krakowie (*śmiech*). Ale z miłą chęcią przekonam się, czy to prawda, i wpadnę do was na jakąś imprezę integracyjną. Tymczasem do zobaczenia na koncercie. Haj!

Rozmawiał Bartłomiej Misiniec



Od lewej stoją: Marcin Pilch (perkusja), Łukasz Pilch (gitarą), Maksymilian Janc (gitarą basową), Mateusz Ziółko (wokół, fortepian)

*Praca po godzinach za marne pieniądze, narzucanie norm, którym nie sposób sprostać, poniżanie i pogarda przełożonych – oto obraz dzisiejszej „Polski pracującej”...*

# Błędne koło strachu

Podobnie jak miliony młodych osób wychowuję się w społeczeństwie materialistycznym, w którym ludzi ocenia się i segreguje po zasobności portfela. W codziennej gonitwie za pieniądzem często zapomina się o tym, co tak naprawdę jest w życiu ważne. Każdy pędzi na oślep, byle tylko wspiąć się na szczyt finansowej piramidy i zrobić wrażenie na innych, by uzyskać społeczną akceptację i poważanie. Ja też dałam się chyba wciągnąć w ten wir. Ale śmierć papieża Jana Pawła II, a właściwie jego słowa, które dopiero teraz zaczęłam rozumieć, skłoniły mnie do refleksji.

Czasem lokujemy swe ambicje w żądaniach i wymaganiach innych ludzi, od których jesteśmy uzależnieni. Mam na myśli pracodawców, bo od nich zależy nasza sytuacja finansowa, a co za tym idzie - pozycja społeczna. Są ludzie, którzy poświęcają życie prywatne dla pracy, dla firmy, żeby tylko zadowolić pracodawcę i mieć szansę na awans. Ale czy takie poświęcenie naprawdę jest konieczne? Wydaje mi się, że w sytuacji, jaka panuje na rynku pracy, w obliczu tak dużego bezrobocia jest to - ze strony pracowników - przede wszystkim walka o stanowiska w celu zachowania możliwości finansowego utrzymania; a owo poświęcenie wynika często z obawy o ich utratę.

Pracodawcy dobrze o tym wiedzą i wyszukują podwładnych w zamian za niewielkie wynagrodzenie, a co gorsza, również za utratę godności, o którą nikt nie ma odwagi walczyć. Każdy na pewno zna historię słynnej sieci sklepów „Biedronka”, która niestety ciągle trwa. Młodzi, niejednokrotnie wykształceni ludzie zmuszani są do wielogodzinnego wysiłku fizycznego bez względu na stan zdrowia i kondycję, często po godzinach, za które nie otrzymują zapłaty. Tylko nieliczni odważyli się przeciwstawić nieuczciwemu pracodawcy. Reszta pozostała w cieniu z obawy przed utratą źródła utrzymania, które wielu z nich zapewnia możliwość kształcenia się. W ten sposób tworzy się „błędne koło”. (Zastanawia mnie, czy zdolność do tworzenia tego typu „zamkniętych kół”, z których trudno uciec, jest nieodłączną cechą mentalności pokoleń naszego narodu? Bo przecież Stanisław Wyspiański w *Weselu* też opisywał ową nie-

możność do wybicia się z marazmu, w jaki popadli wówczas Polacy na skutek sytuacji politycznej, tylko że dziś ta niezdolność wynika z sytuacji ekonomicznej).

Mimo szybko postępującego rozwoju cywilizacyjnego pracodawcy traktują swoich podwładnych, a konkretnie ich pracę, jako *sui generis* - towar, jeden ze środków produkcji - na równi z ziemią, kapitałem i zespołem narzędzi. Pracownicy określani często mianem „siły roboczej”, traktowani są przedmiotowo. Takie postępowanie jest sprzeczne z głównym założeniem idei pracy, ponieważ to właśnie człowieka uważa się za podstawowy jej cel, a więc zawsze powinien on być traktowany jako podmiot pracy i siła sprawcza, a nie „wypadkowa” produkcji. Ojciec Święty Jan Paweł II w encyklice *Laborem Exercens* pisze o „zasadzie pierwszeństwa pracy nad kapitałem”. Każdy człowiek poprzez pracę dokonuje swojej samorealizacji z racji tego, że jest istotą ludzką, a praca to podstawowy wymiar bytowania człowieka na ziemi, o czym głosi nauczanie Kościoła. Dlatego nikt nie powinien być traktowany jak anonimowy element maszyny produkcyjnej, lecz jako jej główny cel - z należyty szacunkiem i godnością, co z kolei winno znajdować odzwierciedlenie w uczciwych prawach i obowiązkach pracowniczych oraz w sprawiedliwym wynagrodzeniu. To oznacza, że pracodawca ma prawo wymagać od pracownika wkładu w pracę i jak najlepszego jej wykonania, ale w określonych granicach i w zamian za należyte warunki.

## Przedtem było lepiej

Praca to zjawisko społeczno-ekonomiczne, które opiera się na obustronnej chęci zaspokojenia pewnych potrzeb. Jest oczywiste, że producent, aby osiągać zyski, będzie potrzebował ludzi do pracy, a ci, którzy ją zaoferują, będą oczekiwali w zamian dogodnych warunków i sprawiedliwej zapłaty. Dlatego, aby na rynku pracy panowała równowaga, potrzebne są nie tylko sprzyjające warunki ekonomiczne, ale także wzajemny szacunek, poszanowanie godności i zrozumienie, bo wszyscy jesteśmy ludźmi.

Przywodzi mi to na myśl rozważania Johna Rawlsa, który sformułował teorię

sprawiedliwości, bazując na tak zwanej pierwotnej sytuacji równości. Podstawową jej cechą było to, że nikt nie znał swojego miejsca w społeczeństwie, pozycji ani statusu. Nikt też nie wiedział, jaką ma siłę albo inteligencję. Krótko mówiąc, wszyscy byli sobie równi i choć taką sytuację możemy sobie tylko wyobrazić - to daje ona do zrozumienia, że bez względu na to, co człowiek osiągnie lub czego nie osiągnie w swoim życiu, zawsze pozostanie człowiekiem i w związku z tym ma on prawo do godności i należy mu się szacunek, a „podstawą określania wartości pracy ludzkiej nie jest przede wszystkim rodzaj wykonywanej pracy, ale fakt, że ten kto ją wykonuje jest osobą” - przypomina Jan Paweł II.

Niestety - jak już pisałam na początku - w ustroju społeczno-ekonomicznym, z którym mamy obecnie do czynienia, wielu pracodawców zapomina o tym, czego nauczał papież i o czym wszyscy powinniśmy zawsze pamiętać - przedkładając rzeczy nad ludzi i pomijając godność swoich pracowników. Nazywa się on kapitalizm. Jest przeciwieństwem socjalizmu i komunizmu. Ludzie długo o niego walczyli, a kiedy się pojawił, w ich sercach zapanowała radość i nadzieja na lepsze życie. W zestawieniu wszystkich tych systemów kapitalizm wypada zwykle najlepiej. Często spotykam się z opiniami ludzi wcześniejszych pokoleń, że „przedtem było lepiej”, że to, czego oczekiwali, zupełnie rozminęło się z rzeczywistością.

Sądzę, że kapitalizm mógłby spełnić ich oczekiwania, gdyby nie kilka błędów, jakie zawiera. Jeden z nich jest podstawową przyczyną panującego obecnie bezrobocia. Dla wielu ludzi spośród blisko trzech milionów niepracujących w Polsce, praca stała się ciężarem nie tylko ze względu na duży wysiłek fizyczny, ale przede wszystkim od strony psychicznej, z powodu wyzysku i braku szacunku. Jest to zapewne również swego rodzaju bunt przeciwko degradacji człowieka jako podmiotu pracy. Dlatego uważam, że panujące bezrobocie jest w pewnym stopniu dobrowolne.

## Nie chcemy pracy...?

Mówi się, że „nie ma pracy” - że brak równowagi na rynku spowodowany jest

nadwyżką popytu na pracę względem jej podaży, czyli mówiąc językiem „nieekonomicznym” - nie ma pracy, ale jest mnóstwo ludzi, którzy jej potrzebują. Jednak uważam, że jest to zupełnie sprzeczny z rzeczywistością pogląd, wykorzystywany przez bezrobotnych jako usprawiedliwienie. Wystarczy przejrzeć gazety, poszukać w Internecie, zajrzeć do Biur Pracy... - ofert jest mnóstwo. Z ciekawości często przeglądam ogłoszenia „Dam pracę” i wiem, że jest w czym wybierać. Dlaczego w takim razie blisko 20 procent polskich obywateli pozostaje bez pracy? Otóż, według mnie, w Polsce rozwija się, tak zwane bezrobocie dobrowolne - przeciwieństwo bezrobocia przymusowego wywołanego brakiem miejsc pracy. To znaczy, że praca jest, ale ludzie jej nie podejmują. Czy w takim razie Polska to tak bogaty kraj, że wypłaca bezrobotnym wysokie zasiłki, co powoduje, że ci wolą siedzieć w domu, zamiast pracować? Oczywiście, że nie. Kwoty zasiłków są niejednokrotnie przerażająco niskie.

Problem bezrobocia jawi się w Polsce jako wynik naruszania godności ludzkiej pracy i praw człowieka. Oferowane stanowiska często wymagają bardzo dużego wysiłku i poświęcenia w zamian za niskie wynagrodzenie, brak uznania i przedmiotowe traktowanie podwładnych - tak jak to wyjaśniałam na przykładzie sklepów „Biedronka”. Młodzi ludzie, którzy spędzili wiele lat na nauce w nadziei na znalezienie w przyszłości wymarzonej pracy, znajdują zatrudnienie w sklepach jako ochroniarze, w wielkich koncernach jako przedstawiciele handlowi, zmuszani do mydlenia ludziom oczu, że ich produkt jest bezsprzecznie najlepszy, lub jako agenci ubezpieczeniowi w polskich oddziałach zagranicznych firm. Wątpię, czy którykolwiek z nich, zapytany jako dziecko, czy już nawet jako student - kim chciałby być w przyszłości - podał jeden z wyżej wymienionych zawodów. Pracodawcy wymagają bardzo dużej efektywności pracy - „wyrabiania” norm (zupełnie jak w komunizmie) i ogromnego poświęcenia, a idealny według nich pracownik powinien mieć perfekcyjne zdrowie, aby nie chorował, stan cywilny „wolny”, aby rodzina nie odciągała go od obowiązków, i najlepiej, żeby zapomniał o słowie „urlop”. Poza tym powinien mieć wykształcenie wyższe - niestety zwykle „dla zasady”, co najmniej kilkuletnie doświadczenie i dużo czasu, by mógł go przeznaczać wyłącznie na pracę, którą bez względu na zainteresowania i profil wykształcenia powinien uwielbiać.

Powyższy opis może wydawać się pesymistyczny i mocno przesadzony, ale niestety jest prawdziwy. Często chodzę na rozmowy kwalifikacyjne do różnych firm, aby się przekonać, jakie wymagania mają pracodawcy. W tej sytuacji trudno się dziwić, że bezrobocie w Polsce jest tak wysokie,

zwłaszcza kiedy weźmiemy pod uwagę jego dobrowolność, albo raczej „przymusową dobrowolność”, bo niewiele osób jest gotowych do tylu poświęceń i zdolnych do tego, aby sprostać takim wymaganiom, dlatego nie podejmują pracy, często z własnej woli. W wyniku tego rodzi się ogromne poczucie bezsilności i frustracja. Jedyным wówczas wyjściem wydaje się zaakceptowanie takiego stanu rzeczy i poddanie się systemowi. Czasem zaczynam wierzyć w to, że gdyby nie prywatyzacja gospodarki obecny ustrój mógłby być nazywany „neokomunizmem”, głównie ze względu na normy narzucane pracownikom...

### Idealna praca w idealnym państwie

Wróćmy jednak do kwestii bezrobocia. Rozwiązaniem może być zlikwidowanie przyczyny, która wywołuje zaistniały problem, a przyczyną w tym wypadku jest tak zwany błąd ekonomiczny. Polega on na traktowaniu człowieka w sposób przedmiotowy. Mamy więc do czynienia z prymatem kapitału nad ludzką pracą. W obecnym ustroju społeczno-ekonomicznym często pomija się cel, czyli człowieka. Jest to błąd, który godzi przede wszystkim w ludzi pracy. Zastanówmy się, co w takim razie należałoby zrobić. Uważam że trzeba by dowartościować pracę ludzką pod kątem godności podmiotu, czyli właśnie człowieka. Ojciec Święty, Jan Paweł II w swej encyklice *Laborem Exercens* wskazuje, jak powinna wyglądać polityka pracy, aby można było mówić o równowadze na rynku. Otóż państwo i pracodawcy powinni prawidłowo planować i koordynować swoje działania. Te z kolei muszą się opierać przede wszystkim na respektowaniu obiektywnych praw człowieka pracy i tworzyć taką ekonomię, aby prawa te stanowiły podstawowe kryterium kształtowania całej ekonomii. W związku z tym uprawnienia nadawane pracownikom nie mogą być pochodną systemów ekonomicznych, które kierują się kryterium maksymalizacji zysku.

Prowadzenie takiej polityki pracy miałoby zapewnić prawidłowe funkcjonowanie ustroju społeczno-ekonomicznego, dzięki czemu człowiek poprzez pracę doskonaliliby nie tylko społeczność i dobra, ale również samego siebie. Wówczas można by było mówić o prawdziwym postępie znacznie większym niż postęp techniczny. Państwo funkcjonowałoby lepiej również wtedy, gdyby dostrzegano nie tylko ekonomiczne, ale i osobowe wartości pracy, a jej planowanie i organizacja ułatwiałaby „znajdowanie proporcji między różnymi rodzajami zatrudnień, wedle uzdolnień ludzi, dla dobra wspólnego” (Jan Paweł II). Właściwie działający system społeczno-wychowawczy zapewniałby przygotowanie każdego człowieka do „zajęcia z pożytkiem

właściwego miejsca pracy przy wielkim społecznie zróżnicowanym warsztacie pracy” (także Jan Paweł II). To sformułowanie przypomina mi nieco wizję pracy w „idealnym państwie” Platona, który mówił: „jest sprawiedliwością według mego zdania (...), że każdy obywatel powinien się zajmować czymś jednym, tym, do czego by miał największe dyspozycje wrodzone”.

### Wszystko zależy od nas

Prawdopodobieństwo stworzenia prawidłowo funkcjonującej polityki pracy w naszym państwie jest oczywiście znacznie większe niż powstanie „idealnego państwa” platońskiego. Jednak w tym celu należałoby wprowadzić wiele zmian, poczynając od osób, które tą polityką się zajmują. To z kolei zależy od nas, czyli od obywateli państwa polskiego, ponieważ to my, poprzez wybory, decydujemy o tym, kto modyfikuje naszą politykę i gospodarkę. Prawdą jest jednak i to, że decyzje, które początkowo wydają się trafne, często okazują się później błędne, gdyż politycy niestety nie spełniają swoich obietnic. Dlatego należy dobrze rozważyć swój wybór i mieć nadzieję, że w końcu znajdzie się ktoś, kto będzie pamiętał. że „więcej wart jest człowiek z racji tego czym jest, niż ze względu na to co posiada”, i sprawi, że będzie żyło nam się lepiej.

Tymczasem sami też musimy pamiętać o tym, aby nie popaść w letarg, nie dać się uśpić i nie czekać, aż poprawa, na którą czekamy, zjawi się sama, bo wbrew pozorom bardzo wiele zależy właśnie od nas samych. Choć czasem wydawać by się mogło, że naszym życiem kierują tylko politycy - egoiści i biurokratyczna administracja, to jednak w rzeczywistości sami tworzymy je w ogromnym stopniu poprzez własne decyzje lub ich brak. Dlatego też - choć może zabrzmi to jak truizm - uważam że powinniśmy pamiętać o tym, czego nauczał papież. Każdy z nas ma moralny obowiązek pracy, ponieważ dzięki niej rozwijamy się i zachowujemy swoje człowieczeństwo. Ale oprócz tego mamy też prawo do szacunku i obrony własnej godności. W związku z tym sądzę, że jeśli będziemy pamiętać o tym, iż każdy człowiek jest wartościowy bez względu na to, co robi, to poprzez pracę i wzajemny szacunek możemy, jeśli nie zlikwidować, to przynajmniej załagodzić problemy dręczące nasze społeczeństwo, zamiast czekać aż zrobią to za nas politycy. Przerzucanie na nich pełnej odpowiedzialności i nasze ciągłe narzekanie pozbawione działania stanowią tylko kolejną blokadę do wprowadzania pozytywnych zmian społeczno-gospodarczych w naszym kraju. Dlatego, aby tego dokonać, najpierw musimy zmienić się sami.

Katarzyna Adamiak

# Karate to nie tylko uderzanie...

Rozmowa z *Shihanem A. Pierzchałą*, studentem politologii KSW

**B.M.:** Jakie jest pana najwcześniejsze wspomnienie związane z karate?

**A.P.:** Pierwsze kroki w sztukach walki stawiali moi starsi bracia. Kiedyś przyglądałem się im, jak przygotowywali się do egzaminu z karate, i stwierdziłem, że zrobiłbym to znacznie lepiej... *(śmiech)* Oni wtedy powiedzieli, że skoro tak, to przyjdź na zajęcia. I tak to się zaczęło.

**B.M.:** Jak długo i jak często Pan trenuje?

**A.P.:** Od 1980 roku. Trenuję codziennie. Tysiące powtórzeń powodują, że dochodzi się do perfekcji.

**B.M.:** Ile czasu zajęło Panu zdobycie czarnego pasa?

**A.P.:** 11 lat. Z dwuletnią przerwą na służbę w wojskach desantowych. Dziś wszakże posiadamy już taki zasób wiedzy i doświadczenia, że jesteśmy w stanie doprowadzić naszych zawodników, oczywiście regularnie ćwiczących, do czarnego pasa w sześć lat.

**B.M.:** Jest pan jednym z nielicznych posiadaczy 5. Dana. Która belka wiąże się dla pana z największym sentymentem?

**A.P.:** Pierwsza, dlatego że zawsze osoba, która zdaje egzamin po raz pierwszy, jest najbardziej obserwowana. To przejście ze stopni uczniowskich *kyu* do stopnia mistrzowskiego *Dan*. Trzeba zatem każdy wyuczony element wykonać po mistrzowsku.

**B.M.:** Dlaczego akurat karate? Czy istnieje hierarchia systemów walki?

**A.P.:** Nie. Wychodzę z założenia, że mistrzowie sztuk walki są zawsze mistrzami... Mnie los rzucił do karate i mogę je ćwiczyć do późnych lat starości. W innych sportach walki, np. w boksie, kikkoksie, nie jest to za bardzo możliwe.

**B.M.:** Ale wiem, że trenuje pan też inne sztuki walki?

**A.P.:** Owszem, gdyż uważam że dobry zawodnik powinien walczyć na trzech poziomach: na poziomie fullcontact, knockdown i na poziomie parteru. Jeżeli ktoś Cię przewróci, musisz się obronić także w parterze.

**B.M.:** Mistrzowie sztuk walki w wywiadach często twierdzą, że od kiedy stali się ekspertami w swej dziedzinie, przestali się z tym afiszować, wręcz przeciwnie – zaczęli unikać wyzwań i konfrontacji.

**A.P.:** To prawda. Póki się nie wie, jakie konsekwencje może spowodować dany cios, to się go wykonuje. Skoro zaś pozna się już niebezpieczeństwa i konsekwencje z nim związane, unika się go jak tylko można. Osoby przychodzące na trening i osiągające pewien sukces w tym doskonaleniu się nie potrzebują się sprawdzać na ulicy. Dobrze wiedzą, że można zrobić to w ramach określonych reguł na macie, kiedy wokół są lekarze, sędziowie.

**B.M.:** W miarę zgłębiania tajników sztuki walki odkrył pan zapewne, co jest najważniejsze w treningu...

**A.P.:** Tak. Według mnie decyduje tu spiżanie wiedzy od instruktora, no i oczywiście systematyczna, wytrwała praca. Sporty walki to sporty indywidualne. Tu nie można podać piłki do partnera, aby on się dalej martwił. Na sukces trzeba zapracować samemu.

**B.M.:** „Mixer” to gazeta studentów. Co by pan polecił tym z nas, którym nie w głowie zdobywanie mistrzostw w zawodach, ale którzy by chcieli po prostu umieć się obronić?

**A.P.:** Proponowałbym biegi... *(śmiech)* A tak serio, mimo wszystko polecam karate, dlatego że oprócz walki, umiejętności zadawania ciosów i kopnięć mamy tu do czynienia z tą filozofią właśnie, etykietą dojo. Białe ki-



mono symbolizuje czystość duszy. Uczy się zawodników pewnej kultury zachowania się na ulicy.

**B.M.:** Jaki okres w miarę wytężonego treningu potrzebowałby według pana przeciętny student, aby umieć się obronić?

**A.P.:** Przy dobrym instruktore jest to kwestia jednego sezonu.

**B.M.:** Co jest najważniejsze, żeby przetrwać na ulicy?

**A.P.:** Złowieszco to brzmi... Ale żeby skutecznie móc się obronić, należy znać kilka różnych „obron”. Bo nieraz jedna czy druga nie przynoszą skutku i trzeba zastosować kolejną.

**B.M.:** A co z masą ciała?

**A.P.:** Masa też oczywiście jest ważna. Jeżeli ktoś waży 50 kg, a zaatakuje go osoba ważąca 100, ciężko mu się będzie obronić. Ale również na to są sposoby! Na ciele każdego człowieka istnieją takie miejsca, o których wszyscy wiemy – a zwłaszcza mężczyźni *(śmiech)* – gdzie można delikatnie...

**B.M.:** Znokautować?

**A.P.:** Tak jest! *(śmiech)*

**B.M.:** Proszę wymienić korzyści z ćwiczenia karate?

**A.P.:** Poprawiamy koordynację ruchową, zwiększamy tężyznę fizyczną, zdobywamy nowych przyjaciół...

**B.M.:** Sylwetka dla dziewczyn?

**A.P.:** Ooo, jak najbardziej *(śmiech)*.

**B.M.:** Kto może ćwiczyć sporty walki i w jakim wieku należy zacząć?

**A.P.:** Otóż karate ćwiczyć można od najmłodszych lat aż do wieku późnego. Mamy osoby, które zaczynają od 6. roku życia, a także takie, które mają po 50, 60 lat i ćwiczą z dużym sukcesem, wytrwale zdobywając kolejne stopnie uczniowskie.

**B.M.:** A co z możliwością odniesienia kontuzji?

**A.P.:** Jeżeli chodzi o grupę początkującą, nie ma absolutnie żadnych kontuzji, ponieważ uczymy kopnięć i uderzeń bez udziału partnera. Wzmacniamy tężyznę, np. pomki, przysiady, uczymy poruszania się, co wydawać może się na pozór łatwe, ale nie raz i nie dwa ludzie przychodzący na pierwszy trening chcą się niemalże zabić własną pięścią... Praca z partnerem tak, ale tylko po to, by nauczyć poczucia dystansu i przyzwyczaić do widoku przeciwnika.

**B.M.:** Z karate związany jest cały ceremoniał. Także sławetne kata. Co to takie? właściwie jest? I czemu może służyć walka z cieniem?

**A.P.:** Kata to kopnięcia i uderzenia powiązane w układy. Są to formy, które wykonuje się jako pozorowaną walkę. Umożliwiają doskonalenie tych elementów, których nauczyliśmy się pojedynczo.

**B.M.:** Jakże są inne zainteresowania mistrza karate? Oprócz tego, że studiuje Pan u nas politologię?

**A.P.:** Cóż, pływam, jeżdżę na nartach... Ogólnie preferuję aktywność.

**B.M.:** Kilka słów do czytelników „Mixer”, których być może zainspiruje pan do trenowania?

**A.P.:** Wielu młodych ludzi, przychodząc na pierwsze treningi, chciałoby się jak najszybciej nauczyć zadawania ciosów i kopnięć, by wykorzystywać to na ulicy. A z czasem, wchodząc na tą matę, odkrywają jakby inne życie. Poznają, że karate to nie tylko uderzanie, ale nade wszystko związana z tym filozofia. Ćwiczenie sztuk walki niewątpliwie uczy pracy nad sobą. Nie wystarczy bowiem uderzać, trzeba to jeszcze umieć robić dobrze, a to z kolei wymaga godzin treningu i wylanego na matach potu.

Rozmawiał *Bartłomiej Misiniec*

## Oryginalny album to jest to!

Album muzyczny to nie tylko płytka z muzyką. Dla mnie to cała mistyka przygotowania się do pierwszego odsłuchu. Najpierw przyglądam się okładce z jednej strony, potem z drugiej. Cieszę oko starannym sposobem wydania. Grafika, zdjęcia, nawet spis utworów - to wszystko sprawia, że coraz bardziej chcę usłyszeć długo oczekiwaną muzykę.

Delikatnie zdejmuję folię. Otwieram opakowanie i ostrożnie wyjmuję płytę. Po chwili trafia do odtwarzacza. Drżącym palcem wciskam klawisz „play”. Następuje najlepszy moment. Pierwsze dźwięki najczęściej powodują, że na mojej twarzy pojawia się uśmiech i widoczny stan błogości. Wsłuchując się w utwory, przeglądam książeczkę dołączoną do płyty, niejako przewodnik. W niej artysta zawarł dopełnienie muzyki, bez czego jest ona uboższa. Tutaj są teksty, zdjęcia obrazujące album, a także podziękowania, które wiele mówią o samym wykonawcy. Bez tych kilku kartek płyta byłaby jakby naga, niekompletna.

Z tego właśnie powodu że jestem zwolennikiem kupowania tylko oryginalnych płyt. Wypalone CD za 80 groszy to jedynie kawałek plastiku, wypełniony anonimowymi dźwiękami, bez historii, otoczki, odarty z piękna. Często jego pochodzenie opisują krzywo nakreślone literki lub nazwa wokalisty. Taka płyta to prowizorka, tak jak wyrób czekolado-podobny lub zwykły banan. A oryginalna płyta jest jak...

Dodam jeszcze jeden ważny argument. Praca naszego wykonawcy to wydawanie płyt, to jego sposób na życie i utrzymanie. Jeżeli przegrywamy płytę, którą on stworzył, lub kupujemy ją od pirata, to okradamy tego kogoś i sami jesteśmy złodziejami.

Wiem, jak kształtują się ceny nowych płyt. Zakup albumu ulubionego wykonawcy, szczególnie zagranicznego, często przewyższa możliwości finansowe studenta. Nie jest to jednak usprawiedliwienie dla kopiowania płyt. Opłaca się poszukać danej płyty w Internecie lub komisie, gdzie najczęściej zakup jest tańszy, a czasem warto po prostu poczekać i pozbiierać środki, aby potem móc cieszyć się z oryginalnego albumu i słuchać go w spokoju i ciszy sumienia.

ko

## Jestem złodziejem dźwięków niespotykanych

Przyznaję się, że regularnie ściagam z Internetu spora ilość muzyki. Nie mam przy tym żadnych moralnych oporów. Nie dlatego, że moralności we mnie brak lub że jest pokrętna. Po prostu ściagam muzykę, której praktycznie nie da się znaleźć na półkach z płytami.

Niestety, preferowane przeze mnie gatunki muzycznie nie należą do popularnych. To nie gwiazdki pop ani dinozaury polskiego rocka, których płyty, czasami żenującej jakości, zalewają sklepy muzyczne. Mojej muzyki na tych półkach nie znajdę. Na dodatek sami wykonawcy nie zawsze wprowadzają na polski rynek swoje produkcje. Co mi pozostaje? Na pewno nie sprowadzanie ich na zamówienie w angielskich cenach. Wybieram więc dwie minuty ściągania z Internetu. Dlatego właśnie mój komputer zaopatrzony jest w kilka dobrych programów P2P i wielką kolekcję mp3 do dzielenia się z innymi.

Zdarza mi się również, przyznaję się bez bicia, do ściągania kawałków bardzo popularnych. Czy jestem złodziejem? Nie czuję się jak złodziej. Szczepnie mówiąc, to ja czuję się okradany, gdy wchodzę do sklepu i patrzę na astronomiczne ceny płyt. Dla mnie, dla studenta, kwota 70 czy 50 (ludzka cena - śmiech na sali) zł to prawie tydzień jedzenia. Trzeba też pamiętać, że płyta to czasami trzy dobre kawałki i siedem średniej jakości utworów. Czy mam zatem zapłacić taką ilość pieniędzy dla kilku minut niezłej muzyki i godziny niezidentyfikowanego brzmienia? Nie ma takiej możliwości. Wyznanie numer dwa: nigdy nie kupiłem oryginalnej płyty.

Czasem jednak odzywa się we mnie jakiś patriotyzm muzyczny i myślę, że zupełnie teoretycznie mógłbym kupić legalną, oryginalną płytę polskiego, młodego zespołu. Niech startują, niech próbują. Dla nich pewnie tych kilkanaście złotych ma znaczenie. Pozwoli opłacić studio, a na dodatek będzie wyrazem zainteresowania społeczeństwa. Szkoda tylko, że polska muzyka jest wtórna i nijaka. Polscy wykonawcy to sztucznie wyhodowani idole. Nie proponują mi nic, na co chciałbym wydać moje pieniądze.

Czy okradam wielkie gwiazdy MTV? Nie sądzę. Tu czuję się absolutnie niewinny, Madonna na moim podkradaniu muzyki nie straci. Kilka milionów fanów w USA na pewno zasili jej budżet i będzie mogła pojechać na kurs jogi do Tybetu. Dla młodych Amerykanów czy Anglików kupno płyty CD to żaden wydatek. Dla mnie to poważne nadszarpnięcie budżetu. Zbyt poważne.

Jeśli więc ktoś ma zamiar nazywać mnie złodziejem, to mówcie o mnie jak o złodzieju dźwięków niespotykanych. Bo ja selekcionuję muzykę i ciągle poszukuję nowych brzmień. Właśnie taką możliwość odkrywania daje mi Internet. Ściagam, słucham i... zostawiam albo kasuję.

Właściwie złodziejem też nie jestem. Ja muzyki nie kradnę. Ja ją pożyczam..., a czasem nie oddaję.

kaktoos

DDz/SE/DK/17/06

Kraków, dnia 27.02.2006 r



*Dom Dziecka  
im. Jana Brzechwy  
Aleja Pod Kopcem 10a  
30-544 Kraków*

# PODZIĘKOWANIE

*dla  
Studentów  
Krakowskiej Szkoły Wyższej  
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego  
ul. G. Herlinga - Grudzińskiego 1  
30-705 Kraków*

*za wspaniałe dary w postaci  
słodczych, kosmetyków,  
artykułów higienicznych oraz spożywczych  
przekazane dzieciom  
przebywającym w naszym Domu*

*W imieniu naszych wychowanków  
serdecznie dziękujemy  
za pomoc i okazane serce*

*Dyrektor  
Domu Dziecka  
im. Jana Brzechwy  
mgr Z. Elżbieta Kaczor*

